Nr. 12. Warszawa, dnia 13 (25) Marca 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50. rocznie rb. 10

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Rozzbrajanie się Europy.

Osobliwszą rytmikę ma odpowiedź Europy na propozycyę ograniczenia uzbrojeń, zawartą w postanowieniu uprzedniem i okólniku hr. Murawiewa z d. 24—26 sierpnia r. z. Samą propozycyę mocarstwa pierwszorzędne przyjęły życzliwie, nawet Anglia, najmniej z nich chętna, niedawno jeszcze przez usta p. Goschena, pierwszego lorda admiralicyi, oświadczyła gotowość do narad — przy niewielkiej, co prawda, gotowości do samego rozzbrojenia się. Od formalnego jednak celu propozycyi każdy ucieka i jak gdyby na ironię, dawno już nie było takiego zbiegu zamysłów, żądań, rozpraw zmierzających do pomnożenia sił zbrojnych, jak obecnie. Zbroi się kto żyje. Anglia nietylko zwiększa olbrzymio swą flotę, ale i pomnaża znacznie siły lądowe, usiłując je postawić na niebywałej stopie, jaką tylko mieć można przy zasadzie wolnego zaciągu bez służby powszechnej. Belgia wprowadza służbę powszechną. Szwecya nawet się zbroi. Francya utyskuje nad słabością swej floty, a pociesza się jakością swej armii. Włochy, pomimo niemocy ekonomiczno-skarbowej nie zaprzestają budowy okrętów, a nie zniżają stopy pokojowej wojska. Austro-Węgry zażądać mają w budżecie na rok przyszły o 23 miliony guldenów więcej, niż w roku bieżącym. Niemcy wreszcie dodały świeżo 16,000 żołnierzy do swego dzisiejszego etatu, pomnożyły liczbę bateryj, wytworzyły nowe jednostki taktyczne, które ich jazdę uczynią najpotężniejszą po rosyjskiej.

Najbardziej uderzającym jest militaryzm Anglii. Przez lat dwadzieścia od r. 1877, od ostatniej wojny tureckiej, kiedy polityka wojownicza Disraelego nakazała obliczyć swe siły i pomyśleć o ich stałem pomnażaniu w przyszłości, stałe wojsko angielskie, złożone z drogo płatnych najmitów, wzrosło o przeszło sto tysięcy ludzi, a zapowiedziany dalszy przyrost nie zatrzyma się na pięćdziesięciu tysiącach. W początku przyszłego stulecia państwo, w którego posiadłościach słońce istotnie nie zachodzi, państwo o największym dziś obszarze, będzie miało pół miliona własnych żołnierzy, oprócz jakich 250,000 wyćwiczonych ochotników. Sto dwadzieścia cztery baterye dział polowych, same przez się nie wyglądają groźnie, ale prócz nich drugie tyle dział (około 800) leży w arsenałach na pierwszą narodową potrzebę, a do obsługi ich znajduje się w społeczeństwie dość ludzi biegłych i wyćwiczonych w rzeczywistej służbie wojskowej. Wszystko to przecież nie wystarczy: Anglia ma więcej drapieżności i apetytu, niż wojska: im bardziej rozpościerać się będzie i ona sama i jej współzawodnicy na wielkim *hurdle-race* świata, tem bardziej dzisiejsze jej ogromy maleć muszą. Systemat powszechny ogarnie i ją. Państwo jeszcze-by się opędziło natarczywej potrzebie zmiany w ustroju, ale nie opędzi się mocarstwo. Kto chce być wielkim, za wielkość płacić musi. Na nic się nie przydadzą nałogi cywilizacyi, kultury, obyczaju narodowego: Anglia swym imperyalizmem coraz bardziej przybliża sobie chwilę doskonałego militaryzmu: zaprowadzi i ona u siebie za przykładem innych powszechną służbę wojskową: bez niej nie da sobie rady ze swą wielkością, z czyhającemi na nią zaprzyjaźnionemi mocarstwami — z mów tronowych.

Niemcy z otrzymanych 16,000 mają pomnażać stan liczebny swej armii tak, aby w r. 1902 znalazło się samych żołnierzy pod bronią 495,500. Jeżeli dodamy do tego 80,000 podoficerów, wraz z materyałem, który w „kadry“ wtłoczyć w każdej chwili można, ta dziś tak skromnie wyglądająca reforma wystąpi w prawdziwie okazałej już potędze. Przewódca Centrum, Lieber, na posiedzeniu d. 14 b. m., na którem taktyka stronnictw odrzuciła cały projekt, postawił twierdzenie, że dziś już Niemcy mają pod bronią 585,000 ludzi, a poprawka tegoż Liebera uchwalona jako rezolucya w dniu stanowczego głosowania, d. 16 b. m., daje rządowi możność żądania i nadzieję otrzymania w pierwszej poważnej potrzebie obciętych mu obecnie 7,006 żołnierzy. Inna rezolucya domaga się podwyższenia żołdu dla podoficerów pozostających po wysłużeniu dwu lat nadal w służbie. Gdyby nawet z tych rezolucyi rząd wcale nie skorzystał, Niemcy w d. 31 grudnia 1902 r. będą miały etatowo 625 batalionów, 482 szwadrony, 574 baterye polowe i 38 batalionów pieszych, 26 batalionów saperów, 11 pochodowych (kwatermistrzowstwa) i 23 bataliony pociągów, a nadetatowe formacye — kto zliczy? Wielka zasobność w działa i ludzi do dział potrzebnych nadaje Niemcom wojenną roz-

prężność. Nie Lebel, ani Mauser, nie ten lub ów typ karabina i prochu do niego, rozstrzygać będą o przyszłem powodzeniu, ale działa najlepiej odrobione, nabite i nacelowane. Już za Napoleona artylerya wybiła się na czoło sił bojujących, a rozwój taktyki i masowości od upadku korsykanina — spotęgował jeszcze uczestnictwo i prawdopodobną zasługę armaty w zwycięztwie.

W sto lat po przelocie tego ognistego geniuszu wojny ludzkość stoi tam, gdzie stała: chcesz żyć? myśl o tem, czembyś się obronił: chcesz bić, gotuj siły do zaczepki. Bolesne doświadczenia XIX stulecia wykazały tę prawdę, że militaryzm tkwi w naturze uspołecznienia europejskiego. Popierają go nietylko jednostki jaśniejące w górze, ale i mroczne, w małostkowych żądzach i celach rojące się masy na padole. Dopóki będzie zdobycz do wzięcia, dopóty będą środki, narzędzia i organizacye do brania. Rozzbrojenie się częściowe, zrzeczenie się nowych uzbrojeń, tkwiące wraz z samą zbrojnością w czynnych i biernych popędach człowieka zbiorowego, okażą się równie opornemi na słodką melodyą ideału, jak instynkt zachowawczy w obronie życia stający. Można tylko wspólną a wzajemną wyrozumiałością ograniczyć w dalszym ciągu srogość samej metody wojny; ale i tu zamknie się wszystko w granicach techniki wojennej: stosunek mieszkańca i obywatela kraju zajętego do wojska je zajmującego pozostanie nietkniętym; zresztą już za dni naszych utrzymano go w tradycyjnej postaci, wiernej hasłu *Vae victis!* Majowa konferencya w Hadze w sekcyi ogólnej zajmie się pociskami i niektóre z nich wyłączy. Trzecia wreszcie rozpatrzy możliwość i praktyczność wprowadzenia sądów rozjemczych w sprawach drugorzędnych. Takich owoców z drzewa narad spodziewać się można: wyżej sięgające marzenia rzeczywistość rozwieje. Nikt nie wyrzeknie się, nie ograniczy swej zbrojności, bo każdy chce żyć; każdy pochwali teoryę, ale nikt nie da dobrego przykładu w praktyce. Całą niedolę swego bytu odczuwa człowiek dopiero wtedy, gdy się rwie do ideału, od którego natura ludzka wiecznie go odrzuca.

Tydzień polityczny. Sejm cesarstwa niemieckiego d. 14 b. m. odrzucił w drugiem czytaniu oba projekty wojskowe: komisyi i rządu, ale puste miejsce zapełnił zaraz d. 16 b. m. przyjętym w trzeciem czytaniu projektem komisyi z rezolucyą Liebera, że przed r. 1893, terminem obowiązywania nowego prawa, rząd może zażądać podniesienia sił zbrojnych. Rezolucya taka jest wynikiem układu pojednawczego między rządem a większością parlamentu, który w razie odmowy kategorycznej uległby rozwiązaniu. Komisya zamiast żądanych 23 tysięcy w okrągłej liczbie, dała tylko szesnaście i to wydębił rząd z parlamentu. Środek ustąpił, nie otrzymawszy zapłaty: Lazarystów.

Cesarz Wilhelm wyjeżdżał na pogrzebanie Bismarcków we Friedrichsruhe.

Rozmowa godzinna Rhodes'a z cesarzem nie wydała wszystkich tych wielkich rzeczy, o których paplano na gorąco w dziennikach. Zgadza się tylko cesarz na poparcie projektu drogi, przerzynającej Afrykę z północy na południe w części niemieckiej (Deutsch Ost Afrika); poprze też telegraf kontynentalny. Rhodes zachwycony jest Wilhelmem I jako cesarzem i jako biesiadnikiem u posła Lascelles'a.

We Francyi po Tulonie wybuchy i zamachy na melinit i proch w Bourges i w Marsylii. List bezimienny zapowiada zburzenie wszystkich magazynów.

W senacie Fabre interpelował d. 17 b. m. o oficerów zaciąganych przez „Ligę ojczyzny francuskiej." D. 21 b. m. p. Freycinet dał odpowiedź uspakajającą. Zbyteczne pochwały szkodzą armii; w niej samej wszystko dobrze.

Nad marynarką rozprawiano przez dwa dni, sobotni i poniedziałkowy, w Izbie przedstawicieli. Piou poddał stan floty ostrej krytyce. Minister Lockroy na budowę krzyżowców i torpedówek podwodnych położył nacisk oczyszczający. Więcej robić nie pozwalają finanse. Budowa wielkich pancerników trwa bez przerwy. Rieunier, admirał, cały systemat Lockroy sprowadził do samochwalstwa: według niego torpedówki są drobnostką, a krzyżowce błędem; trzeba się trzymać typu pancerników. Skutek rozpraw ma być ten, że p. Lockroy poda się do dymisyi.

Dziennik *Petit bleu* odsłania tajemnice z procesem Dreyfusa związane. W r. 1893 sprzedano Niemcom konwencyę militarną Francyi z Rosyą; z niej dziennikarstwo francuskie podało szczegóły uderzające swą prawdziwością. Sprzedał tajemnicę jakiś dyplomata, wiecznie polujący na pieniądze, a dla zamaskowania sprzedał i listy sfałszowane ces. Wilhelma do Dreyfusa, dziękujące za przysługę. Dostały się one z ministeryum spraw zagr. do sztabu do Boisdeffre'a. Fałsz ich poznano, ale z fałszu skorzystano, aby oczyścić stosunki i pokryć matactwa w samym sztabie.

Admirał Canevaro dawał wyjaśnienia w senacie o San-munie. Martino rzeczywiście przekroczył instrukcye, ale jak ubocznie wiadomo, z winy telegrafu. Chiny jeszcze się wciąż namyślają, Włochy jeszcze wciąż spodziewają się dostać bez walki.

Austrya ma wysłać okręty do Chin po kawałek terytoryum. Mówiono nawet o belgijskim apetycie — i o duńskim.

Na Filipinach republikanie amerykańscy gotują się do zaciętej walki z narodem Tagalów i Negrytów: tak szanują prawa człowieka, które wygłosił wielki ich obywatel, Tomasz Payne. Ale to było tak dawno; to było w wieku XVIII, wieku romantyzmu politycznego w Ameryce. Wiek XIX na schyłku inne ma prawa — postęp nie zna sentymentalizmu. Górą siła!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PRYWATA W SPRAWACH PUBLICZNYCH

Prywata w naszem życiu społecznem jest to olbrzymia rzeka, bardzo szeroka lecz zarazem płytka, która jednakże, płynąc po płaszczyźnie pochyłej, zabiera z sobą żwir wszelaki, drobne muszelki ślimacze i zaściela niemi bujne niwy naszego życia, wyjaławia je, pokrywa namułem brzegi, uprawione pracą zbiorową i pozostawiając zbocza odkryte, pozwala wiatrom roznosić i rozsiewać z nich dokoła suche piaski ambicyj podrażnionych, zawiści drobnych i knowań nizkich. Rzeka ta bierze początek w oparzeliskach towarzyskich, sączy się zrazu wązkim strumieniem, a wypłynąwszy na obszary społeczne, wyżłabia sobie szersze łożysko.

Kto przegląda korespondencye prowincyonalne, odzwierciedlające życie zaściankowe, kto tam zrobił sobie krótki postój lub się rozgościł na dłużej, ten łatwo mógł dostrzedz znamienne objawy owej prywaty wszędzie, gdzie tylko za pomocą kółek towarzyskich usiłowano wziąć współudział w sprawach publicznych. Jeżeli ktoś urządza koncert lub przedstawienie amatorskie na rzecz jakiejkolwiek instytucyi społecznej, to oczywiście napotka olbrzymie a częstokroć nieprzezwyciężone przeszkody w ambicyjkach i knowaniach. Doktorowa X., posiadająca talent bardzo odpowiedni na popis prywatny, ma być przynętą publiczności, jako kwestarka za pomocą swego głosu lub palców. Ale oto paromiesięczne zabiegi rozchwiały się: koncert czy widowisko nie przyszło do skutku, bo doktorowa X. dowiedziała się, że dla wzbogacenia programu zaproszono jej współzawodniczkę, garbarzową Y. Gdy występują do walki wodzowie dwu stronnictw politycznych lub dwaj przedstawiciele ministeryów, cierpią na tem obywatele kraju, nie otrzymują przywilejów i ulg, jakie dałaby mu zgoda i harmonia sterników nawy państwowej. Gdy wypowiada wojnę pani doktorowa pani garbarzowej, cierpią uczniowie ubodzy, którzy jak zbawienia oczekiwali opłaty wpisu z dochodu widowiska lub koncertu; cierpi wynędzniała dziatwa, której odmówiono przyjęcia do kolonij letnich.

W życiu politycznem walka przywódców stronnictw jest klęską, w naszem życiu towarzyskiem utarczka bohaterek pod sztandarem ze spódnicy jest krzywdą dla garstki biedaków, wreszcie walka z podobnych pobudek wynikająca w naszych ogniskach publicznych — jest plagą. To, co się dzieje na estradzie amatorskiej, spostrzegamy coraz częściej na arenie życia społecznego i ekonomicznego. Zdolni i pożyteczni ludzie, którzy mogliby swoją energią, wiedzą, pieniędzmi i wpływami podtrzymać, wzmocnić i rozwinąć daną instytucyę, którzy byliby niejako cementem utrwalającym gmach pracy zbiorowej, naraz cofają swoją działalność obywatelską dlatego, że w instytucyi są dla nich ludzie niesympatyczni lub współzawodnicy niemili, którzy stanęli wraz z nimi u steru. Bierzemy jeden najświeższy przykład wyraźny. Niedawno zawiązana handlowa spółka rybacka ma już zachwiane podstawy, bo się wycofali z niej niektórzy wybitniejsi i zamożniejsi członkowie dlatego tylko, że większość głosów nie wysunęła ich na czoło. Co gorsza — wycofawszy się ze stowarzyszenia mozolnie skleconego, zaczynają agitować i werbować sobie nowych członków, odciągać przyjaciół ze spółki już zatwierdzonej i utworzonej, ażeby zorganizować własną, odrębną i zająć tam najwyższe stanowisko. O to właśnie stanowisko, o zadośćuczynienie wybuchom swej próżności głównie im chodzi. Zamiast tedy jednego silnego stowarzyszenia, które powoławszy do udziału wszystkich hodowców z całego kraju, mogłoby uregulować handel, znieść wyzysk i uprzystępnić ten ważny produkt masom szerokim — powstaną dwie spółki i, naturalnie, podkopując się wzajemnie — upadną, a na ich zwaliskach zapanują znowu spekulacya i wyzysk.

Ten wymowny przykład nie jest u nas, niestety, jedynym. Wejdźmy do pierwszej lepszej instytucyi społecznej lub ekonomicznej, a znajdziemy tam liczne wysepki, które powstały z niwy jednolitej, poszarpanej przez rzekę Prywatę. Często się toczą utarczki, odrzucają projekty i wnioski pożyteczne dlatego tylko, że wyszły one nie z grona przyjaciół prezydyum lub

pewnej grupy członków. Przed kilku laty ktoś wystąpił w sekcyi rolnej z referatem, którego ostateczne wnioski miały na celu przestrogę i radę, ażeby postarano się o przystosowanie przepisów ochrony leśnej do naszych warunków. Uwagi przyjęto z lekceważeniem, ponieważ nie wypłynęły one z ust wnioskodawców — wodzirejów. I oto dziś prawo ochrony leśnej weszło bez zmian i poczyniło pogmatwanie stosunków ekonomicznych. Naturalnie, będzie to wszystko z czasem uregulowane, życie wykaże swoje potrzeby i wytworzy zmiany w przepisach, ale ta cała mitręga, ta szalona obecnie drożyzna drzewa tymczasem naraża ludność na straty. Zawsze czujna spekulacya skwapliwie skorzystała ze sposobności, podniosła ceny drzewa budulcowego i opałowego. W rezultacie pójdą jeszcze bardziej w górę ceny mieszkań letnich i utrudnią ludziom niezamożnym ratowanie zdrowia swej dziatwy. Rolnicy ucierpią również z powodu zastoju swych interesów. Twórcy przepisów nietylko przyjmują wyjaśnienia, lecz wymagają ich od świadomych rzeczy. Na tem się opierają zmiany i przystosowywania. Tym razem jednak szum rzeki Prywaty zagłuszył przestrogi i rady, dawane zawczasu.

W innych instytucyach drobne ambicye występują pod postacią wichrzeń, knowań i ataków skierowanych na działalność pożyteczną przez jednostki mierne, lecz posiadające dusze przeładowane uroszczeniami, żądzą przewodniczenia, pomimo braku wszelkich uzdolnień po temu.

Na pociechę swoją możemy powiedzieć, że dzieje się coś podobnego i zagranicą, gdzie życie społeczne płynie szerszą i gwałtowniejszą falą, że nawet bywa tam gorzej, często nietylko pobudki ambicyi, i próżności, lecz brudne cele zabijają najpożyteczniejsze usiłowania i czyny. Ale to nie powinno nas wcale pocieszać i upoważniać do naśladownictwa choćby w najsłabszym i najmniej szkodliwym stopniu. Tam grają główną rolę inne czynniki, u nas zaś taka prywata w sprawach publicznych jest tylko objawem małostkowości w życiu społecznem. Kto czuje powołanie do udziału w tem życiu, niech przedewszystkiem zatruje w swej duszy owe drobne robaczki prywaty, które rozsiane przez ambicyę, tem silniejszą im słabsze są uzdolnienia do pracy szerszej — toczą następnie gmach dobra społecznego

Z NIEMIEC.

Berlin, 15 marca

Etyka w parlamencie niemieckim.

Był cudowny wieczór wiosenny. Na ulicy Fryderykowskiej i Pod Lipami roiło się w powietrzu od grotów Amora. Panowie i panie ostrzeliwali się wzajemnie ognistemi spojrzeniami, popychali łokciami i wabili nogami. Pomimo to jakaś troska rysowała się na szlachetnych i myślących twarzach „złotej młodzieży" i półswiatka. Piękne panie w kapeluszach a la Cyrano, malowane i tynkowane podług ostatniego słowa nauki kosmetycznej, dystyngowani panowie ubrani wytwornie — słowem, ci wszyscy, co starają się wprowadzić w czyn biologiczną hipotezę Weitsmanna, iż cały nasz organizm wraz z mózgiem jest właściwie nadbudową komórki rozrodczej— wszyscy ci wyrywali sobie z rąk... sprawozdania parlamentarne. Tego dnia bowiem ważyły się losy ustawy — *lex Heintze*, którą parlament chciał uczynić zamach na instytucyę, uświęconą przez tysiącoletnią tradycyę, na t. zw. klapę bezpieczeństwa społecznego, czyli — mówiąc bez ogródek — na prostytucyę. Po kawiarniach, winiarniach i „barach" panował z początku nastrój melancholijnego przygnębienia. Prawdziwy koniec świata! Czyż mają rzeczywiście tryumfować legalne żony, zaniedbywane przez mężów i matki wprowadzane w rozpacz lekkomyślnością swych pociech, co zamiast dalej „akkumulować," składają „ciężko zapracowany" grosz rodziców na ołtarzu Veneris Vulgivagae? Lecz wtem z nadejściem wieczornych gazet rozeszła się radosna nowina, iż w parlamencie zawieszono tymczasem całą rzecz na kołku. Szampan zaczął lać się strumieniami; chichoty wypełniały powietrze. Odrazu podskoczyły w górę kursy krótkoterminowego handlu miłosnego. Tranzakcye szły raźnie. Zasunięto parawany i ciężkie portyery; szczelnie zaryglowano *chambres separées* i „naga dusza" rozpoczęła swe królowanie.

Ze wstydem należy wyznać, iż parlament swemi rozprawami złożył rażące dowody nieudolności. Przedewszystkiem zacieśnił on sferę swych badań. Gdyby np. traktował kwestyę prostytucyi w najobszerniejszem słowa znaczeniu, wtedy można byłoby potrącić o nadzwyczaj interesującą, wygłoszoną w przeszłym tygodniu mowę rektora heidelberskiego, w której zarzucał studentoryi karyerowiczostwo i brak stałych przekonań, a profesorom zmiękczenie mlecza pacierzowego i elastyczność karku. Można byłoby rozebrać artykuł profesora Paulsena, wytykającego kierownikom młodzieży i urzędnikom uległość i daltonizm przekonaniowy. Można byłoby wreszcie kilka słów poświęcić odkrytym niedawno salonom, gdzie uprawiano proceder stręczenia bogatych lieutenantów za córki bogatych bankierów. Można byłoby poruszyć wiele innych ciekawych dziwów, które biją w oczy, a jednak są systematycznie ignorowane i pozostawiane biegowi rzeczy. Parlament roztrząsał sprawę rozpusty w znaczeniu bardziej ograniczonem. Lecz okazał się bezsilnym wobec rany organizmu społecznego. Przedewszystkiem bowiem postawiono na lewicy pytanie: co począć z t. zw. świątynią sztuki, tj. teatrem? Prezes stowarzyszenia artystów dramatycznych Niemiec oświadczył niedawno wyraźnie, iż z nielicznymi wyjątkami aktorki wielkich miast są na łasce mecenasów — oczywiście płci męzkiej. Bez tych filantropów, otaczających swą opieką artystki, nie moglibyśmy doznawać umoralniającego wpływu sceny, ani oglądać Otelij lub Desdemon: stanowczo musiałyby się zrzec swej karyery chorzystki, baletnice, śpiewaczki i statystki. Publiczność stawia tak wielkie wymagania co do garderoby artystek, iż dyrektorowie są zmuszeni zwalać ten wydatek na barki swej podwładnej; ta zaś, przyciśnięta ciężarem, musi oprzeć się na dłoni hojnego „przyjaciela." To samo dotyczy i przemysłu konfekcyjnego. Sklepowe i pracownice tej gałęzi, jak przytaczano w parlamencie, są opłacane tak licho, iż w żaden sposób nie mogą utrzymać się ze swej pensyi. Cnota dziewicza jest w tej sferze zupełną utopią, niemającą przy obecnych warunkach żadnej racyi bytu, chyba że panowie konfekcyonerzy podniosą swym pracownicom pensye o 100%. Żądać zaś czegoś podobnego znaczy wywołać ruinę jednej z największych gałęzi przemysłu, dającej zatrudnienie dziesiątkom tysięcy ludzi. Wyraźniej stoi sprawa z kelnerkami, ponieważ są one przyjmowano wyłącznie jako wabik dla gości płci brzydkiej. Kelnerka, pozująca na westalkę, traci posadę jako balast zakładu, odstręczający gości. Uprawianie erotyki należy do obowiązków, uwarunkowanych kontraktem. W rozprawach wspomniano również o mamkach, zawdzięczających „grzechom młodości" swój zawód. Wskazano nawet, że sporo dziewcząt chłopskich przechodzi Rubikon cnoty, aby potem na stanowisku mamki mieć możność zebrania posagu dla późniejszego zamążpójścia. Jakże zresztą położyć tamę wszetecznictwu, skoro tingel-tangle otrzymały powszechne prawo obywatelstwa i zwycięzko wypierają teatry.

Lewica sejmowa dla naprawy złego żąda gruntownych reform społecznych i tem samem zarzuca postępowanie tych, co z obrzydzeniem nie chcą dotykać błota i kwestyi zezwierzęcenia duszy ludzkiej. Tak np. berlińskie stowarzyszenia kobiece żądały w swoim czasie, aby dozór nad nierządnicami powierzono przedstawicielkom płci niewieściej; gdy zaś przed dwoma tygodniami prezydent policyi zwrócił się do wspomnianych stowarzyszeń z prośbą o wskazanie osób nadających się do tej czynności, otrzymał odpowiedź, iż żadna kobieta, dbająca o swój honor, nie podejmie się podobnie sromotnego obowiązku. Lewica parlamentarna domaga się przedewszystkiem, aby państwo przynajmniej nie oddawało pracującej kobiety na pastwę żywiołów społecznych. Nadto należy stworzyć instytucye, gdzie kobiety, pozbawione opory w życiu, mogłyby spędzać swe wywczasy w otoczeniu towarzyszek niedoli. Cała prawica jako jeden mąż ogłosiła nierząd za wieczniste zło konieczne. Na tem więc rzecz stanęła. Ostateczna decyzya zapadnie przy trzeciem czytaniu wspomnianej ustawy.

Parlament uratował swój honor natomiast w dwu innych wypadkach, występując energicznie w obronie moralności. Centrum mianowicie odmówiło Goethemu pomnika jako człowiekowi niemoralnemu. Lowelas ten „zwodził" kobiety przez całe życie, a nawet wtedy jeszcze, kiedy już poślubił legalnie swą gospodynię. Dalej niecny mąż ten wyznawał panteizm, a nawet nazywał siebie poganinem; na domiar złego przypinał łatki Rzymowi i wyprzedzał Darwina na punkcie teoryi ewolucyi. Czyż można otaczać glorya podobnego syna Belzebuba: co się zaś tyczy jego poezyj, to znajdą się tam niekiedy rzeczy znośne. Bardziej radykalne stanowisko względem dziedziny piękna zajęło centrum przy innej okazyi. Był to jakby generalny obrachunek z nowoczesną sztuką, która w swem zaślepieniu nie pojmuje, iż faunom, nimfom, bożkom i boginiom najbardziej do twarzy w trykotach, gorsetach, pelerynach i hawelokach, a nawet w długich sutannach. Najostrzej potępił dowódca centrum, dr. Lieber, malarza Stucka, naśladującego przepychem ciała ludzkiego epikurejczyka Rubensa. Szerokie biodra, potężne piersi, mięsiste muskuły, oczy świecące żarem namiętności—wszystko to nie pasuje do kramu ultramontańskiego. Stuck należy bezwarunkowo do najwybitniejszych młodych talentów nowoczesnego malarstwa niemieckiego. Jego „Wygnanie z raju" i „Grzech" uchodzą za rzeczy monumentalne. Dr. Lieber przebrał nieco w wyrazach, wydając swój sąd szewca o twórczości artystycznej Stucka; przeto słowa jego wywołały oburzenie śród monachijskiej drużyny Apellesa. Wystosowano siarczysty protest, zwłaszcza ze względu na to, iż prezydent nie raczył nawet przywołać do porządku mówcy, gdy ten użył w zastosowaniu do Stucka wyrazów, które rozmijają się z tradycyą etykiety parlamentarnej.

H. F.

AUSTRYACKIE KASY OSZCZĘDNOŚCI *).

Kiedy wybuchł „krach" w galicyjskiej Kasie oszczędności we Lwowie i jak grom z jasnego nieba spadł na Galicyę siedmiomilionowy deficyt, urzędowe i półurzędowe głosy (między nimi i dzienniki ludowe!) uspakajały publiczność zapewnieniami, że „wkładom nie grozi niebezpieczeństwo" i że publiczność nadal najspokojniej oszczędności swe może umieszczać w owej rozbitej kasie. Z tych głosów uspakajających przebijała jasno jedna myśl, mianowicie, że niepotrzebną wrzawę robią niektóre pisma i wrogowie instytucyi, bo przecież jeżeli wkłady nie przepadły i nie przepadną, to cóż nareszcie się stało? Wszak do funduszu rezerwowego wkładający nie mają prawa, a jeżeli fundusz ten przepada, to nie powinno ich obchodzić. Więc o co krzyk?

Ten pogląd sfer rządowych i półurzędowych jest bardzo charakterystyczny i ma źródło w ich zapatrywaniach na istotę kasy oszczędności, w zapatrywaniach, wykarmionych przez ustawę austryacką, ów osławiony „regulamin dla kas oszczędności" z r. 1844, który do dziś jest podstawą prawną tych urządzeń w całej Austryi.

Oczywiście nie brakło i wtedy filutów, którzy to „ojcowskie" usposobienie rządu umieli wyzyskać dla celów egoistycznych: bo trzeba było się tylko zastosować trochę do form „humanitarnych," zarzucić na siebie płaszczyk „dobroczynności," zablagować trochę patryarchalną opieką nad „ludem," a można było wszystko przeprowadzić, wszelkie instytucye niby to „dobroczynne," które wszakże miały ten tylko cel, aby koteryjkom uprzywilejowanym dopomódz do finansowych stanowisk i lekkich dochodów.

Tak się wylęgły Kasy oszczędności, pozakładane na zasadzie wspomnianego powyżej, a do dziś dnia uznawanego „regulaminu z r. 1844," którego kwintesencya była taka: Rząd daje dobrze myślącym i godnym zaufania kilku obywatelom koncesyę na założenie kasy oszczędności, tj. upoważnia ich pod pewnymi warunkami do świadczenia „biednym" „dobrodziejstwa," przyjmowania od nich wkładów na 3 lub 4%, a wypożyczania tak zebranych sum na 5 lub 6%. Ci „dobroczyńcy" więc ludu i biednych mus dają wkładającym o jakie 2% mniej, aniżeli ich pieniędzmi zarabiają. Z tej nadwyżki pobierają sobie dobre płace, tantyemy, nagrody i zbierają fundusz rezerwowy na „cele dobra publicznego." Jakie są owe cele, tego regulaminu bliżej nie określa, zostawia to uznaniu „dobroczyńców," którzy wypłaciwszy taką należność sobie, raczyli z nadwyżek zysków utworzyć fundusz rezerwowy. Na podstawie tego regulaminu od owego czasu kasy oszczędności wyrosły w Austryi jak grzyby po deszczu; pokazało się, że wszędzie dużo było „dobroczyńców," którzy raczyli dawać biednemu ludowi o 2% mniej, niż zarabiali jego pieniędzmi, a tą nadwyżką dzielić się po części, wyposażać swoich przyjaciół i krewniaków dobremi posadami, a rozporządzając funduszem rezerwowym na cele dobra publicznego, często gęsto jednać sobie różne sympatye, pochwały, znaczki itd.

Naturalnie nikt w tem nic zdrożnego nie widział; „panowie," którzy w tych dobroczynnych instytucyach brali „udział" jako dyrektorowie, prezydenci, urzędnicy, byli kontenci — a z funduszów rezerwowych można było być wspaniałomyślnym.

Tylko jednej rzeczy nie można było wykazać, tj. żeby z tych instytucyj korzystał „biedny lud," którym ci dobroczynni „macherzy" się opiekowali. Co najwyżej, obrońcy kas oszczędności podnoszą zawsze, że u Maćków i Wojtków dawniej pieniądze chowano w „pończochach" bezprocentowo, podczas kiedy kasy płacą im 3 albo 4%. Ale z drugiej strony te same kasy pożyczały na grunta włościańskie pieniądze na 6% (najmniej! co w *niezliczonych* wypadkach prowadziło do egzekucyjnych sprzedaży i wywłaszczania chłopów z ich ojcowizn. Choć te przymusowe licytacye w niektórych krajach austryackich przybierały groźne rozmiary, pocieszano się zawsze tem, że jednak lepiej składać pieniądze na 3%, niż chować w pończochach, że kasy oszczędności są wielkiem dobrodziejstwem „dla ludu."

Na czele ich stoją „panowie," albo usłużni im plebejusze. Zresztą między panami są dwie partye: torysi i whigowie, arystokraci i demokraci. Współzawodniczą oni w łupieniu Maćków i Wojtków. Kłócą się oni zawzięcie i walczą z sobą, a przedmiotem walki jest zawsze lud. Chodzi o to, *kto* mu ma „świadczyć dobrodziejstwa." I świadczą mu je ciągle tak, że biedny pupil już ledwie dyszy. Od pół wieku widzimy ciągłe „akcye ratunkowe" w celu „podniesienia ludu." Idą po sobie: indemnizacye, kilkakrotne wykupna propinacyj, banki rolnicze, kredyty ziemskie, kasy oszczędności; ale jakoś wszystkie te środki ratunku ludu mają zawsze jeden rezultat, tj. że się z niego wyciąga miliony i puszcza się je na rozmaite „cele publiczne," albo też niepubliczne, ale w każdym razie takie, z których *lud*, „misera contribuens plebs" nie ma najmniejszej korzyści.

Że te fundusze, które np. kasy oszczędności zbierają za pomocą wkładów Maćków i Wojtków, ich są własnością, że zatem obracać je trzeba na korzyść wkładających, o tem ani wysoki rząd, ani panowie torysi, ani panowie whigowie nie myślą wcale.

To też kiedy „run" na Kasę oszczędności we Lwowie się rozpoczął, rząd i te „sfery interesowane" uspakajały tylko publiczność zapewnieniem, że „wkłady nie przepadną." Hr. Piniński pojechał do Wiednia i wystarał się u rządu, a następnie u sejmu, aby kraj przyjął na siebie gwarancyę „wkładów." Traktowano całą sprawę tak, jak gdyby po tem zabezpieczeniu publiczność nie miała prawa uskarżania się na nic. Namiestnictwo galicyjskie (które miało obowiązek czuwania nad Kasą oszczędności), sfery nadzorcze (rada nadzorcza, dyrekcya) i ich poplecznicy w różnych swoich oświadczeniach i na wiecach uchwalających votum zaufania dla dyrektora Kasy, powtarzały ciągle tę jedną piosenkę: skąd hałas niepotrzebny, wszak „wkłady" uratowane, nikt nie stracił! A przez wszystkie te uspakajania przebłyskiwała chęć, żeby utrzymać instytucyę, przyjmującą wkłady na nizki procent! Rzecz naturalna, chodzi tym sferom o utrzymanie krowy dojnej, która jak dotąd mleko dawała, tak i dalej ma być dojoną. Sfery te zapewniają i są może nawet o tem przekonane, że dojąc tę krowę, „służą krajowi," a „poczciwemu ludowi" wyświadczają wielką łaskę. Bo wszak właściciele krów dostają swoje mleko: czegóż chcą więcej? Że „dobroczyńcy" kraju i ludu zbierają dla siebie śmietankę — co to kogo obchodzi? Układ został zawarty na podstawie regulaminu austryackiego z r. 1844. Regulamin ten stanowi jasne prawo, którego treść możnaby w następujący sposób określić: Osobom, przez rząd upoważnionym, które się chcą podjąć tego dzieła „humanitarnego," pozwala się budować obory i przyjmować do nich dojne krowy od biednego ludu. Za dojenie zbierają śmietankę: ludowi dają zebrane mleko.

To „prawo" tak się wżyło w stosunki austryackie, tak zapanowało nad umysłami, tak się stało „moralnością publiczną," że nikomu nie przychodzi na myśl, azali do tej śmietanki nie mieliby może jakiejś słusznej pretensyi także właściciele krów?

A jednak jeżeli kasy oszczędności mają być zakładami dobroczynnymi, to właściciele obór nie powinni z dojenia krów ludu ciągnąć innych zysków nad te, które kosztuje utrzymanie obór — a zatem wszelkie nadwyżki zysków ze sprzedaży śmietanki powinny należyć do właścicieli krów — to znaczy, że fundusze rezerwowe powinny być obracane na korzyść Maćków i Wojtków. A jeżeli im się już nie rozdziela tych funduszów indywidualnie, to sprawiedliwość nakazywałaby przynajmniej przyznanie im wszystkim razem jakiegoś prawa rozporządzania nimi.

Ale od takiej zasady oczywiście regulamin austryacki 1844 r., wydany za rządów Metternicha, był dalekim. Czuł wprawdzie i ówczesny prawodawca, że zyski ze składek ubogich nie powinny im być zabierane, ale sądził, że temu wymaganiu sprawiedliwości zadość uczyni zastrzeżeniem, że fundusze uzbierane mają być wzięte na „cele dobroczynne." I co się z tego przepisu stało? Najrozmaitsi spekulanci polityczni i niepolityczni współubiegają się o to, aby groszem ubogich w pierwszym rzędzie żywić siebie i koteryę swoją, a następnie obrósłszy w pierze, obracać resztę na najrozmaitsze cele niby to „dobra publicznego," które właściwie jest tylko „dobrem" pewnych kółek i koteryjek.

Taka praktyka niemoralna, wyciągająca z ludu zyski, którymi małe kółka „bez niego i nie dla niego" rozrządzają, stworzyła w Galicyi tę atmosferę zapatrywań mało skrupulatnych, według których fundusze rezerwowe kas oszczędności są niby to własnością sfer kasami temi rządzących. Od takich zapatrywań już krok tylko jeden do wszelkich nadużyć kapitałów rezerwowych, zebranych groszami ubogich, w celach osobistych, politycznych i ekonomicznych, niby to dla „dobra kraju" pod którą to formułkę nie trudno podciągnąć matactwa wyborcze, spekulacye polityczne, przemysłowe, giełdowe i — naftowe!

Tak z grzechów małych dochodzi się do wielkich. Kiedy zaś noga się pośliźnie i grunt się zapadnie, wtedy w sferach „miarodajnych" rozlega się tylko jeden okrzyk: „poręczamy wkłady!" Naturalnie, bo o wkłady chodzi i na przyszłość, chodzi o dalsze wabienie krów dojnych Maćków i Wojtków do obór „dobroczyńców," aby starą gospodarkę i na przyszłość dalej prowadzić.

O usunięciu źródła nadużyć, o zmianie regulaminu kas oszczędności nikt nie myśli; o położeniu końca tej gospodarce szafowania groszem ubogich na cele „wyższe," których popieranie byłoby bardzo ładną rzeczą, gdyby się je popierało — z własnej kieszeni, nikt nie wspomina.

*) Uwagi te otrzymaliśmy od jednego z najpoważniejszych ekonomistów tamtejszych. *Red.*

O SZTUCE I NIE-SZTUCE.

(Luźne uwagi profana).

II.

Rzucamy myśli i formy tak, jak przypływ morza rzuca na brzeg ryby, muszle, meduzy, topielców!" Nie — nie tak! Wody oceanów w swej martwej, nieczującej jednostajności wyrzucają na brzeg zielska i muszle, ryby żywe i zgniłe, rzeczy piękne i brzydkie — te same wody. Dusza ludzka — mówię o „nagiej" duszy, działającej żywiołowo w bezwiednym podmuchu twórczym, bez uczestnictwa „biednego mózgu" — postępuje inaczej. Nie jest ona absolutem, bo absolut, jeden, nieograniczony, nieskończony, nie zna indywidualności, nie jest więc jak toń morza bezbrzeżną i niezdolną jest ukrywać w sobie, a zatem wydawać jedno-

cześnie i zielsko i muszle perłowe. Przeciwnie, jest skończoną, tj. indywidualną, różną w każdej istocie ludzkiej, wyodrębnioną w każdym człowieku. „Po za ciasnem kółkiem świadomych stanów naszego ja jest ocean wewnętrzny, morza tajni i zagadek, kędy się wichrzą dziwaczne burze, są tam kryjówki, Sezamy pełne nieprzebranych skarbów i cudów i rzeczy w słowa nieujętych!“ Tak, ale z zastrzeżeniem, mianowicie, iż owe tajnie i zagadki, dziwaczne burze i cuda w każdej duszy są odmienne. Twórczość, ta żywiołowa — rzekłbym - cerebracya, gdybym nie czuł niestosowności tego zbyt ograniczonego wyrażenia, wydobywa cudowne rzeczy z tajników wewnętrznych, a im silniej wstrząśnie oceanem jaźni naszej, tem potężniejsze rzeczy wychodzą. Tylko w taką twórczość wierzę! Ale owe dziwaczne burze, podnoszące falę na morzu wewnętrznem, wyrzucają w każdej osobie nie to samo— albo zielsko, przynajmniej głównie zielsko, albo coś zgoła innego.

Są na świecie różne nagie dusze!

Przed nami „naga dusza“ w ekstazie: uczucia treści społecznej sprzęgają się z tonami, barwy z oderwanemi ideami, nerwacya zmysłowa z cerebracyą żywiołową, a mózg „biedny mózg,“ tj. świadoma wola, jest jako kwoka, której kaczęta pasły się na wodę.

Posłuchajmy melodyi, która wydobywa się z tajni duszy i rozbrzmiewa w kaskadzie wyrazów i obrazów:

...Milion tonów płynie; w tonów milionie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęczę i w akordy i w strofy plączę,
Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstę-[gach.

Sam śpiewam... Słyszę me śpiewy:
Długie, przeciągłe, jak wichru powiewy,
Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie,
Jęczą żalem, ryczą bu[illegible]
I wieki im głucho wtó[illegible]

Dusza ta, która wydobywa tonów miliony i rozlewa je w błyskawic wstęgi, chce „rządzić czuciem,“ które jest w niej, ale także szczyci się, że „czułą jestem, silną jestem i rozumną!“ Przed poetą, wielkim poetą, przewiewają nie wcielania lingamu, tylko ludzkiego rodu całe tonie! Instynkty współczucia, przyniesione w formie beztreściowej na świat, jako oddźwięk na cudze bóle, w ciągu życia zostały zapłodnione przez ideę, która nadała im treść, idea zaś, w ten sposób wchłonięta, wżarła się w każdy atom nerwów, w każdą tkankę mózgu. I kiedy po oceanie wewnętrznym przelecą dziwaczne burze, w pomroku huragana dźwięczeć będzie symfonia umiłowania milionów i będą przewiewały rodu ludzkiego całe pokolenia, a poeta będzie cierpiał za nie wszystkie! Nie będzie w tym dreszczu twórczym „tendencyi,“ tj. naginania stanów duszy do tego, co podoba się „biednemu mózgowi,“ ale jest obce głębiom jaźni. Nie! Dusza, naga dusza, jest tam uspołecznioną, jej miłość dla milionów tak samo naturalną, „nagą“, jak czyjaś inna.

A teraz przed nami inna, prawdopodobnie także „naga dusza,“ wypowiadająca tajniki oceanów swoich wewnętrznych w mowie pospolitej, w prozie. Nazwa odgłosu „przedziwnych burz“: Pieśń promienna, pieśń biała.

...Są blizko siebie.
Jula i Jura.
Jej włosy czarnem pasmem zsunęły się na ramię, na piersi.
Rąbek koszuli białej drgnął.

...Są sami i naprzeciw siebie.
Słyszą własne milczenie, czują melodyę promienną — widzą:
„Pieśń idzie ku nam biała, pieśń spływa do nas promienna.“

Dwa miękkie tony splecione jak dwa powoje.
Dwa dźwięki miękkie:
Jura i Jula.

...Mówią, że włosy i piersi dziewczęcia przedziwną wydają woń.
Ale ja nie wiem.
— A ja wiedzieć chciał bym!
[illegible]
Jula przechyliła głowę kochanka ku swojej piersi dziewczęcej —
bo pierś jej przedziwną ma woń.
Policzek jego u jej piersi wonnej, różanem ciepłem [illegible].
Tak piersi dziewczęce przedziwną wydają woń...
. . . .

Przepraszamy za zbyt długi wyjątek i do tego pisany nie w mowie bogów. Ale przykładów nawet i artystyczniej obrobionych nie zabrakłoby nam — twórczość wielu moglibyśmy streścić w życzeniu jednego z poetów, jakim ma być jego nagrobek:

[illegible]
Położcie nagi kształt dziewczęcy!...

tj. nie posąg ukochanego człowieka-kobiety, nie symbol zindywidualizowanego uczucia, ale nagi kształt pierwszej lepszej dziewczyny, byleby miała jędrne ciało. Kobieta we wszystkich przymiotach, naturalnie piękna, i nietylko piękna, ale niekiedy bogata — przypomina mi się okrzyk z głębi serca bohatera pewnej powieści, opuszczonego przez narzeczoną: taka piękna i taka bogata! — oto treść absolutu u nazbyt wielu przedstawicieli nowej prawdy. Zresztą opuszczę przymiotnik bogata, bo są tam natury pod tym względem nieposzlakowane: węszą one tylko nagie kształty bez dodatku złotego kruszcu. Niema tam w ich duszy pierwiastków społecznych, przynajmniej ich nie czuć w utworach, albo są tak nikłe i bez poczucia swojej godności, iż na żądanie wydawców przestają istnieć. Przed poetą nie przewiewają rodu ludzkiego całe tonie, ani nie obejmuje on w ramiona przeszłe i przyszłe pokolenia, miłość jego spoczęła na każdej kobiecie, lubieżnie zgiętej w swojej nagości. Zamiast za milion — cierpi on tylko za siebie bólem nie męża, lecz rozkapryszonego bębna, któremu odmówiono karmelka. Świat w jego nagiej duszy przedstawia się jako olbrzymie tokowisko bezosobistego, lubieżnie nastrojonego absolutu. Kobieta, niezindywidualizowana niekiedy, i zniechęcenie, pożądanie i przesyt, miłość samca i tani pesymizm, nieraz aż nazbyt tani...

Są więc na świecie różne nagie dusze, i po ich głębiach wichrzą może przedziwne, ale niejednakowe burze!

Pragnąłbym, ażeby mnie zrozumiano. Nie zaprzeczam prawa bytu żadnemu głosowi jaźni, ani żeby dusza, nieposiadająca pierwiastków społecznych, tylko czująca jedną miłość ku kobiecie, nie miała stworzyć rzeczy pięknych i wzruszających, nawet pociąg niezindywidualizowany może wydać arcydzieła, które oddziałają głęboko na każdego. Chodzi mi o podkreślenie czego innego. Naprzód, że istnieją na świecie różne natury twórcze, jedne posiadające w głębiach jaźni swojej lirę wielostrunną, inne — jednostrunną, jedne, w których, w porodzie twórczym, żywiołowe rozbrzmiewają całe rodu ludzkiego tonie, inne, umiejące opiewać tylko „przedziwne wonie“ nagiego ciała. Powtóre, wychodząc z tej odmienności gamy twórczej, chciałbym wykazać istotną treść tak popularnego dzisiaj hasła: sztuka dla sztuki!

Sztuka dla sztuki! Okrzyk taki wydobył się właśnie z piersi tych nagich dusz, które lubują się w „pieśniach białych.“ w „pieśniach promiennych,“ kiedy Jula i Jura, samczyk i samiczka, urządzili sobie tokowisko, do czego zresztą posiadają prawo i co niewątpliwie zawiera w sobie pierwiastki piękna. Sztuka dla sztuki! — co ma to oznaczać? Sztuka, mojem zdaniem, może i powinna hołdować tylko jednej zasadzie, mianowicie powstawać ze szczerego podmuchu głębin ducha, z drgania pierwiastków jego, przenikających czyjąś istotę. Różne instynkty mogą tam istnieć i głos zabierać. „Sztuka jest odtworzeniem duszy we wszystkich jego przejawach... substrat sztuki istnieje tylko ze strony swej energii!“ Instynkty społeczne, pociągi zmysłowe, stany przygnębienia, tęsknota ku kobiecie — wszystkie te pierwiastki ze stanowiska sztuki są jednako uprawnione, byleby szczere, byleby odczute i wypowiadające się w naturalnym podmuchu. W takiem wyładowaniu tajników ducha nie będzie „tendencyi,“ jak nie było jej u poety, który ryczał burzą i przewiewał toniami całej ludzkości! „Oceany wewnętrzne“ w każdym przypadku wyrzucają to, co kryją w sobie: miłość dla milionów, tęsknotę po wybranej kobiecie lub pożądanie niezindywidualizowanej miłości. „Tendencya“ zjawia się dopiero wtedy, gdy artysta pragnie odtworzyć to, czego niema w jego duszy — w jej pokładach bezwiednych. Nasuwa mi się tak znany obraz z równiny mazowieckiej: piaszczysty gościniec, żydowska bida, furman chłoszcze batem szkapy, zaledwie mające siłę wlec się. Taką jest twórczość, kiedy ktoś nagina stany duszy do tego, czego tam niema. W jaźni rzeczników nowej prawdy braknie właśnie pokładu uczuć społecznych. Jak na świecie są *moral idiots*, tak samo są i *social idiots*, kalecy szczególnego rodzaju. Jeżeli przyjdzie takim artystom fantazya potrącić struny tego kalibru, nie mogą wykrzesać z siebie zapału, ani naturalności; zamiast rumaków zbiedzone szkapy się wloką i, mistrz w innych tonach, rodzi w tym przypadku rymy częstochowskie.

Są na świecie i takie natury. Nie urągamy im, ani nie zakazujemy tworzyć, jak umieją: morze ich duszy wyrzuca tylko takie osobiste wątki. Ale zarzucamy im, że nie znajdując w duszy swojej oddźwięku na pewne tony, w ślepocie swojej sądzą, że niema takiej wrażliwości i u innych i że wszystko, co nie jest Nirwaną, tęsknotą ku nagiemu ciału, musi być przesiąknięte tendencyą!

Stawiamy im zarzut, że pod sztuką dla sztuki nie pojmują tego, iż jedynym warunkiem twórczości jest szczery a żywiołowy podmuch uczucia, ale w swojem haśle zawarli uprawomocnienie tylko dla swoich form i myśli, że pragnęliby wygnać pierwiastki dla siebie niezrozumiałe nawet z najgłębszych pokładów duszy ludzkiej. Sztuka dla sztuki powątpiewa, ażeby czyjaś naga dusza mogła czuć coś więcej, niż czują czciciele wdzięków dziewczęcych i ażeby istniało piękno w czemkolwiek innem, siła zaś uczucia w dreszczu społecznym. Istotni *idiots!*

Podkreślamy ich sekciarstwo, kiedy wyganiają z aktu twórczości nietylko „biedny“ mózg, ale chcą wyrwać z duszy stany ducha im nieznane, jak daltoniście nie są znanemi niektóre barwy.

Wreszcie zarzucamy im tendencyjność i wprowadzanie „biednego mózgu“ do dreszczu twórczego! Bo nie wszystkie te hymny na cześć „przedziwnych woni“ są szczere, nie wszystkie stany płyną z głębi ducha. Robi je biedny mózg, tak, ten biedny mózg, szperający w najgorszych wyrafinowaniach, byleby wetknąć je w utwór. Tak! to jest tendencya! Sztuka dla sztuki jest często tylko płaszczykiem dla takiego, świadomie robionego kultu nagiej piękności, a nieraz dla umyślnego popisywania się z najpospolitszego rozłajdaczenia. I wyszermierze lubieżności pod maską sztuki dla sztuki, wyklinacie wszelkie tendencye tylko po to, ażeby zamiast sztucznych tyrad na temat miłości dla milionów, wprowadzić zapożyczone z domów nierządu sztuczne giesty i sztucznie hodowane obrazy! Milczcie, pajace ducha i nierządnicy uczucia, milczcie kłamcy i obłudnicy!

Swobody dla dreszczu, co tworzy, dla dreszczu, który jest naturalnym! Możemy „poniechać“ jego pewnych płodów, lecz przyznajemy jak najrozleglejszą wolność podmuchom jaźni. Ale jeśli ów dreszcz jest wykrzywianiem się pospolitego klowna, jeśli tam chodzi o schlebianie najbardziej poziomym instynktom i chuciom, jeśli zamiast szczerości namiętnej kobiety zjawia się cynizm sprzedajny a nienaturalny hetery — nie czołem przed taką sztuką! Pajacom ducha można odpowiedzieć tylko w jeden sposób — pogardą!

K. R. Żywicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Przyszły papież.

Pomimo uspokajających zapewnień lekarskich nie ulega wątpliwości, że Leon XIII dogasa i że wkrótce miejsce jego zajmie inny papież. To prawdopodobieństwo porusza już umysły przypuszczeniami i projektami, które tworzą głośny gwar w prasie a cichy — w dyplomacyi. Kto będzie następcą? — oto najważniejsze pytanie, około którego kręcą się liczne domysły i zabiegi. Dostrzedz jednak łatwo, że ważność tego pytania zamyka się w bardzo ograniczonem kole sfer inteligencyi i władzy. Wielkich mas ludu ono nawet nie potrąca. I nie dlatego bynajmniej, że te warstwy leżące na dnie społeczeństw słabo się interesują wogóle wypadkami, zachodzącymi na wierzchu: ale dlatego, że w ich przekonaniu papież jest to istota niezmiennego charakteru. Wiedzą one, że jeden umiera a drugi zasiada na tronie apostolskim, ale nie sądzą wcale, ażeby następca różnił się wielce od poprzednika. Jest to według nich składowa część orszaku świętych, żywe naczynie, napełnione stale tym samym duchem bożym. Zalatują czasem do tych nizin stłumione echa jakichś nowych, odmiennych rozporządzeń papieskich, ale one są zbyt nieuchwytne, mgliste i zasadniczego poglądu nie przekształcają.

Związanie dogmatów wiary z interesami świeckimi, z tem splątanem pasmem rachub i wpływów, które nazywamy ogólnie polityką, o co olbrzymia większość wyznawców katolicyzmu nawet nie posądza namiestnika Chrystusowego, nadaje właśnie wagę każdorazowemu jego wyborowi w kołach kierujących biegiem spraw świata. Ale pomimo że zarówno odcienie charakteru władców stolicy Piotra, jak kąty odchylania się igły magnesowej, ich dążeń szczegółowych mogą być bardzo liczne, w gruncie rzeczy rozmaitość stanowisk nie wyraża się w zbyt wielu odmianach. Instytucya tylowiekowa, poruszająca się siłą stężałych tradycyj, słabo ulegająca rozwojowi, zaciera już dziś w swych sternikach odrębności osobiste i pozwala im zaledwie na przybieranie kilku postaci typowych. Ta różnobarwność i różnolitość temperamentów, usposobień, energii, zamiarów, jaką widzimy w początkowych dziejach papiestwa, dziś już jest niemożliwa. Papież obecnie ma tylko do wyboru: albo być religijnym pasterzem swej owczarni, albo politykiem. Dwa te rodzaje wcieliły się doskonale w dwóch ostatnich papieżów: Piusa IX i Leona XIII. Pierwszy z nich był czujnym stróżem i obrońcą swego kościoła, śmiałym rycerzem swej wiary, Piotrem, który dobył miecza przeciwko nieprzyjaciołom. Drugi znowu jest chłodnym, rozważnym, gładkim dyplomatą, Piotrem, który schował miecz do pochwy i po trzeciem pianiu koguta rozmyśla nad przeprowadzeniem rzeszy między niebezpieczeństwami. Pius prowadził ciągle wojny, Leon zawierał układy; tamten był odważnym rycerzem, ten zręcznym politykiem; tamten rozpalał żarliwość do bujnych płomieni i szanował jej miejscowe ogniska, ten starał się ogrzać wszystkie ludy jednakiem ciepłem wiary, wytwarzanem we wspólnem ognisku; tamten był katolickim narodowcem, ten kosmopolitą; tamten czuł, ten filozofował. Pius pokonany w wojnie nie uznał praw zwycięzcy i zamknął się w dobrowolnem więzieniu; Leon wszedł również do tego więzienia, ale wepchnięty koniecznością polityczną. Gdyby on był stracił państwo i władzę świecką, z pewnością nie byłby się pozbawił swobody, lecz rozpoczął dyplomatyczne zabiegi odzyskania dawnego stanowiska. Bo wszakże tych samych przeciwników, na których Pius rzucał gromy, Leon ozdabiał orderami Chrystusa (Bismarcka).

Wobec możliwości wstąpienia na tron papieski dwu tak odmiennych postaci i rozwinięcia dwóch tak odmiennych systemów, wszystkie pytania zbiegają się właściwie w jednem: czy następcą Leona XIII będzie podobny doń dyplomata, czy też podobny do Piusa IX bojownik? Jakiego bardziej życzą sobie rządy i narody? Pierwsze pomijam, gdyż ten rozbiór nie jest moim zamiarem i wymagałby obszerniejszego wywodu. Zastanowię się tylko nad drugiem.

O ile rozumiem epokę, w której obecnie żyjemy, zdaje mi się, że coraz wyraźniejszem pragnieniem wszystkich ludów jest oddzielenie religii od polityki, których ścisły związek wpływa ujemnie na obie. W obrębie chrześcijaństwa objawiła się nawet silna dążność do oczyszczenia go z niepożądanych przymieszek i powrotu do pierwotnej postaci, jaką mu nadał Chrystus. Jest to szczególny objaw naszych czasów, czasów niewiary, wyzwolenia umysłowego lub obojętności religijnej, że na tem tle coraz potężniej zarysowywa się wspaniała postać Mistrza nazarejskiego, a symbol krzyża zyskuje coraz więcej czci. Pozornie dziwne to zjawisko po głębszem zbadaniu staje się zupełnie naturalnem. Z jakiegokolwiek bowiem stanowiska oceniać będziemy tegoczesny świat ucywilizowany, zawsze wypadnie nam, że on głęboko zagrzązł w błocie życiowem, że z jego stosunków zniknęła sprawiedliwość, że jego uczucia zbrukały się obłudą i samolubstwem, że więc on musi odrodzić się moralnie. Gdy zaś spojrzy po za siebie, nie widzi w całem życiu ludzkości doskonalszego ideału moralnego od Chrystusa. Pomimo tedy różnicy pojęć, dróg, celów, zadań, które się zmieniły w ciągu kilkunastu wieków, zwraca on tęskne i uwielbienia pełne oczy ku temu promiennemu, niepokalanemu, wszystkich miłością obejmującemu Duchowi, który przetrwał tyle burz, tyle wstrząśnień i przewrotów i który ciągle przyświeca rodowi człowieczemu. Cokolwiek jeszcze wymyśli lub wytworzy geniusz, jakiekolwiek tryumfy odniesie rozwój kultury, prawda, sprawiedliwość, czystość charakteru, miłość bliźniego, samorząd sumienia jednostki, niepodległość jej serca, słowem, to wszystko, czego uczył i za co umarł Chrystus, nie straci nigdy swej wartości i nie przestanie być cennem dobrem człowieka bez względu na formę, jaką ono przybierze. Dziś zaś, jak to już dawniej zaznaczyłem — pragnienie odzyskania tego dobra objawia się bardzo wymownie pod postacią rozmaitych prądów idealistycznych, usiłujących nadać życiu kształt i ustrój doskonalszy. Rzecz naturalna, że papież jako głowa olbrzymiego kościoła, może w tym powrocie do Chrystusa przyjąć bardzo ważny udział.

Pierwsi ewangeliści byli to ludzie prości, wielcy tylko swoją głęboką wiarą i niezłomnem do niej przywiązaniem. Żądać ażeby na stolicy Piotrowej zasiadł dziś po dwudziestu wiekach taki apostoł, zapatrzony w niebo i niewidzący ziemi, taki czcigodny „pasterz dusz,“ byłoby niemożliwem: każda bowiem epoka ma swoje dzieci, które ją pojmują i umieją spełniać jej zadania. Ale najzupełniej możliwym nawet dziś jest taki papież, którego głównym celem byłaby nie walka o władzę świecką, nie rozszerzanie wpływów na dziedziny interesów praktycznych, słowem, nie zdobycze w „królestwie z tego świata,“ lecz pielęgnowanie tych pierwiastków moralnych, których bogatem źródłem był Chrystus i które dotąd są wiązadłami stosunków życia. Leonowi XIII nie podobała się ta z pozoru skromna, a w rzeczywistości szczytna rola. On nie chciał być ewangelicznym pasterzem dusz, ale monarchą, mężem politycznym, filozofem swojego wieku. I jeżeli nad grobem obrachowywa się ściśle, to widzi, że „panowanie“ jego było dziwnie bezpłodnem. Pomimo nieskończonej ilości encyklik, bul, listów, pomimo zabierania głosu we wszystkich ważniejszych sprawach polityczno-społecznych, nie osiągnął żadnego rezultatu, nie rozstrzygnął żadnej kwestyi. Bo rozstrzygnąć nie mógł. Podejmował bowiem wielkie zagadnienia świata, które nie dadzą się rozwiązać środkami, jakimi on rozporządzał, lecz wymagają zupełnie innych sił i metod. Cały też szereg jego starań był jednocześnie szeregiem dowodów jego niemocy. I dzięki właśnie temu on, najdyplomatyczniejszy z papieżów, wywarł najmniejszy wpływ na rozwój polityki, a wcale niedyplomatyzujący jego poprzednik oddziaływał na nią głęboko.

Z tego też doświadczenia i z tej różnicy dobywa się wskazówka dla przyszłego sternika nawy Piotrowej: im mniej on będzie politykiem, a więcej „pasterzem dusz,“ tem będzie miał wyższe znaczenie polityczne. Bo skoro każda religia jest dotychczas pierwszorzędnym czynnikiem życia narodów, skoro katolicyzm jest wyznaniem, obejmującem wielomilionowe masy ludzkie, każdy władca jego sumień musi być osobistością wielkiej wagi. Gdy on wszakże zacznie je wprawiać w ruch nie religijny, lecz polityczny, pozbawi się dobrowolnie mocy naturalnej i nie zastąpi jej sztuczną. Średnie wieki odsunęły się od nas dalej, niż mniemają ich czciciele. Dzisiejszy papież nie może już grać głównej roli w politycznej tragikomedyi świata: z dawnych dzielnic pozostała mu już tylko religia z dwiema sferami: wiarą i moralnością. Że obie te sfery zapewniają mu jeszcze ogromne pole wpływów, że one mogą zadowolić najrozleglejszą ambicyę — nie potrzebujemy zapewniać.

Starałem się tę sprawę oświetlić bez żadnej obrazy zarówno dla czyichś zasad lub uczuć, jak dla osób. I zdaje mi się, że najgorliwszy papista mógłby uznać słuszność powyższych uwag. Kto ich nie podziela, niech oczekuje bliskiego konklawe z życzeniem, że ono wyłoni z siebie papieża tego typu, do którego należał Leon XIII. Sądzę wszakże, iż to życzenie bardziej przenika pewne żywioły, które pragną instytucye religijne uczynić kanałami wpływów świeckich, że ono bardziej dogadza spekulantom jezuickim, arystokracyi kosmopolitycznej, graczom dyplomacyi, niż masom.

Poseł Prawdy.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ROSYJSKA.

II.

Antoni Czechow.

Ciekawa i charakterystyczna jest galerya typów kobiecych Czechowa. Prawie niema tam postaci dodatnich. Wprawdzie ta i owa ma w sobie pierwiastki i porywy szlachetne, ale wyladowywane w marzeniach, próbach i uczynkach filisterskich, które nie przynoszą rzeczywistego zadowolenia, wytwarzają rozczarowania i rozterki życiowe, niesformułowane jasno, a więc tem większym ciężarem padające w duszę. Młoda panna ze sfery dorobkiewiczów, przeciętnie inteligentna, zostaje po ojcu spadkobierczynią fabryki i kapitałów znacznych. Pozyskawszy tym sposobem stanowisko niezależne społecznie i materyalnie, chciałaby życie swoje spędzić możliwie najuczciwiej i najpożyteczniej. Pragnie poznać swoich robotników, ale nie rozumie i nie odczuwa potrzeb duchowych, moralnych, a nawet materyalnych tego świata. Otrzymawszy półtora tysiąca rubli od jednego ze swoich pełnomocników z jakiegoś źródła mętnego, chciałaby te pieniądze zużytkować godziwie. Tu dopiero autor wprowadza nas w świat subtelności psychologicznej. Młoda właścicielka fabryki odwiedza nędzarza, postanawia mu ofiarować te pieniądze. Ale wyraźna bezczelność i brutalność wyzysku żebraczego zraża ją, więc zostawiwszy parę dziesiątków rubli, wychodzi z niezadowoleniem, gdyż wie, że jałmużna ta utonie w kieliszku. Chce następnie te palące pieniądze oddać uczciwemu i sympatycznemu pracownikowi swojej fabryki, ale boi się, kroku „niewłaściwego.“ W końcu znalazła kieszeń odpowiednią: swojego adwokata, blagiera i pasorzyta, który za próżniactwo pobiera olbrzymią płacę i sam się dopomina o gratyfikacye. Spędza on z nią długie chwile na pogawędce i zaleca jej takie życie. „Kobieta *fin de siecle* — mówię o młodej i, naturalnie, bogatej — powinna być niezależna, rozumna, wytworna, inteligentna, śmiała i trochę przewrotna. Przewrotna w miarę, troszkę, bo przesyt jest już znużeniem. Pani nie powinna wegetować, lecz kosztować życia. Lekka przewrotność jest jego przyprawą. Proszę się tarzać po kwiatach aromatycznych, oddychać perfumami, pić haszysz, a najważniejsza — kochać, kochać, kochać... Ja bym na pani miejscu postarał się przedewszystkiem o siedmiu mężczyzn, stosownie do dni w tygodniu. Jednego nazwałbym Poniedziałkiem, drugiego Wtorkiem, trzeciego Środą itd., ażeby każdy trzymał się swego dnia...“

Wogóle typy kobiece Czechow lubi wtrącać w sferę ujemnych postaci męzkich. Młoda żona starego, apatycznego męża oddaje się kochankowi, który po chwili szału spożywa z zadowoleniem zwierzęcem śniadanie i przyśpiewuje „ta ra-ra-bun-dara,“ a widząc, że ona klęczy przed nim i wzrokiem go pochłania — taką robi uwagę: „Przypominasz mi pieska, który czeka aż mu kawałeczek szynki rzucą ze stołu.“ A jednak i takim mężczyznom kobiety ulegają! Jest to coś potwornego, ale zarazem i fatalistycznego w organizacyi duchowej i fizyologicznej tych nieszczęsnych.

Z jednej strony lekkość, z drugiej wrażliwość płciowa i artystyczna nie pozwalają młodej kobiecie widzieć zalet prawdziwych skarbów duszy i umysłu męża zacnego. Otoczona rojem wielbicieli, typowych i rasowych samców, do tego stopnia odsuwa się od męża, że gdy on przyjeżdża do żony na letnie mieszkanie, obcy ludzie w jej domu traktują go, jako gościa dalekiego. Wyzyskana fizycznie, upadła i odtrącona przez przesyconego, wraca do męża i poznaje całą jego wartość, całą wielkość dopiero wtedy, gdy ten, jako lekarz zaraziwszy się dyfterytem, umiera i gdy koledzy opłakują go i widzą w nim niepowetowaną stratę wielkiej siły naukowej i profesorskiej.

Takie jednak rozwiązanie dramatyczne nie wzrusza. Kobiety Czechowa, nawskroś lekkie i skażone, nie mają tych głębokich chwil miotania się duchowego, tych walk rozpaczliwych, które świadczą o istnieniu pięknych, szlachetnych pierwiastków. Niema takich postaci, które pomimo padającego błota na ich ciała, umieją bronić czystości duszy, które potrafią swoją słabość czy błąd okupić męczeństwem wewnętrznem. Takie pierwiastki dramatyczne są obce Czechowowi. Być może nie zdołał odnaleźć ich w swem otoczeniu. Jego kobiety toczą z sobą bardzo krótką walkę, ulegają niespodzianie, nawet bez udziału serca, pociągnięte gwałtownie brutalną ręką mężczyzny postronnego; a jeżeli potem miota się nieco ich sumienie, to przywołują je do porządku złajaniem własnej osoby. Przewidzieć przyszłość takich istot bardzo łatwo. Nie zerwą one związku małżeńskiego, ale szybko wezmą rozwód z sumieniem, przestaną płakać i łajać siebie, lecz uniósłszy spódniczki, pójdą po pochyłej błotnistej drodze wesołe, z piosnką i... kokieteryą. Między innemi spotykamy entuzyastkę, „społecznicę,“ w pierwszych zarysach, nawet sympatyczną. Zamożna, wypieszczona w zbytkach, chce coś robić, jak tamta właścicielka fabryki. Poznaje człowieka inteligentnego w bluzie robotniczej i oto niezwykłość położenia zaczyna ją pociągać. Wychodzi za niego, osiada na wsi i ma tam rozpocząć pracę nad oświatą i umoralnieniem ludu. Rzeczywistość prędko ją zraża, a niezwykłość związku małżeńskiego traci urok. Porzuca męża, wraca do flirtu salonowego, marzy o sztuce, która „daje skrzydła,“ w końcu chcąc odetchnąć pełną piersią swobody i wrażeń, wyjeżdża do Ameryki. Zawiedziony i znękany mąż, powróciwszy do bluzy robotniczej, tak rozmyśla: „Nasze spotkanie, nasze małżeństwo było tylko epizodem, jakich będzie jeszcze nie mało w życiu tej kobiety. Wszystko co lepsze, było na jej usługi, darmo, nawet idee, modny ruch umysłowy służyły jej dla przyjemności i urozmaicenia życia. Ja zaś byłem dla niej tylko furmanem, który ją przewiózł od jednego porywu do drugiego!“

Cała pełnia talentu Czechowa zarysowała się w tych większych utworach, przez które prześwieca pewna szersza i głębsza idea. Uwydatnia ona rozdźwięk życia społecznego ze światem duchowym. Niepospolite umysły i szlachetne dusze walczyć muszą z tą brutalną falą powodzi, zatapiającą nietylko niziny, lecz i wierzchołki wzgórz. Jeżeli ktoś, uciekając przed tą falą z wierzchołków, potrafi się dostać na maszt jakiegoś statku życia, pływającego po zmętniałej powierzchni wód, i stamtąd zechce patrzyć w słońce, marynarze wnet zwalą maszt i zatopią go wraz ze śmiałkiem. Niezłomna ślepa siła przesądów i wszelkich najniższych pobudek społecznych, gnieżdżąca się w nizinach i jaskiniach świata, nie znosi wszelkiego przerastania, więc gnębi dusze i zabija umysły.

Lekarz, kierownik szpitala obłąkanych na prowincyi, dlatego że nie mógł się dostroić do mizeraków duchowych i umysłowych, że nie potrafił się pogodzić z ich życiem jałowem, padł ofiarą podkopów krecich. Po daremnem poszukiwaniu między zdrowymi, znalazł śród swoich pensyonarzy szpitalnych jednego człowieka, byłego studenta, z którym przyjemnie i rozsądnie mógł rozmawiać. Gdy jednak ta rozmowa zbyt często zaczęła się powtarzać, lekarza wzięto za waryata i podstępnie zamknięto w tej sali, w której przebywał ów towarzysz rozmowy. Kiedy zrozpaczony chciał się stamtąd wydostać, nie puścił go stróż Nikita, pchnął obiema rękami i kolanem, potem uderzył lekarza w twarz. „Andrzejowi Efimyczowi zdało się, że pokryła go ogromna słona fala i pociągnęła do łóżka. Rzeczywiście w ustach było słono; zapewne z zębów poszła krew. On, jakby chciał wypłynąć, zaczął machać rękami i chwycił się czyjegoś łóżka, ale w tej chwili poczuł, że Nikita dwa razy uderzył go w kark. Towarzysz głośno krzyknął. Zapewne i jego bito. Potem wszystko ucichło. Słabe światło księżycowe wdzierało się przez kraty i kładło na podłodze cień, podobny do siatki. Było strasznie. Andrzej Efimycz stłumił oddech i czekał, aż go znowu uderzą. Doznał takiego uczucia, jakby ktoś wbił w niego sierp i zakręcił nim kilka razy w piersiach i wnętrznościach. Z bólu ugryzł poduszkę i zacisnął zęby. Nagle w głowie jego błysnęła straszna myśl, że taki sam ból codzień przez długie lata czuli ci wszyscy ludzie, którzy obecnie przy świetle księżycowem wyglądali jak cienie. Dlaczego w ciągu dwudziestu lat nie wiedział on o tem i nie chciał wiedzieć? Nie miał pojęcia o bólu, a więc nie jest winnym. Ale sumienie takie same brutalne jak Nikita, pokryło go chłodem od głowy do stóp. Zerwał się, chciał krzyknąć, biedz zabić Nikitę i innych, potem siebie; ale z piersi nie zdołał wydobyć żadnego dźwięku, nogi odmówiły posłuszeństwa i padł bez czucia...“ („Sala nr. 6“).

Do najpiękniejszych i najniepospolitszych pod względem pomysłu i idei zaliczam utwor p. t. „Czarny mnich.“ Andrzej Kowryn, magister, kandydat na profesora, zmęczony, wyczerpany nerwowo, postanowił, za poradą lekarza, spędzić wiosnę i lato na wsi. Tam spotkał się ze swoją rówieśnicą, do której poczuł głębszą sympatyę. Wciąż jeszcze podniecony umysłowo i nerwowo, dręczony bezsennością, opowiedział jej taką legendę: „Nie pamiętam, czym przeczytał, czym słyszał opowiadanie, dość że legenda jest dziwna... Przed tysiącem lat jakiś mnich w czarnem ubraniu szedł na pustyni gdzieś w Syryi, czy Arabii... O kilka mil od tego miejsca, kędy podążał, rybacy widzieli innego czarnego mnicha, który powoli poruszał się po powierzchni jeziora. Był to miraż. Od niego odbił się drugi, potem trzeci, tak iż obraz czarnego mnicha przechodził bez końca z jednej warstwy atmosfery do drugiej. Widziano go to w Afryce, to w Hiszpanii, to w Indyach, to wreszcie na dalekiej Północy. W końcu przekroczył on granice atmosfery ziemskiej i teraz błąka się we wszechświecie. Może dziś widzą go na Marsie lub na jakiejś gwiździe Krzyża Południowego... Skoro tylko upłynie tysiąc lat od chwili, gdy mnich szedł na pustyni, miraż znowu przejdzie do atmosfery ziemskiej i ukaże się ludziom... Czas ten już jest bardzo bliski...“

Wieczorem Kowryn poszedł w pole, nad rzekę. Naraz ciszę zagłuszył jakiś niepokój w powietrzu. Na widnokręgu jak wicher czy też trąba meteoryczna wzbił się od ziemi do nieba wysoki, czarny słup i zaczął szybko zmierzać do Kowryna, tak iż ten ledwie zdążył ustąpić mu z drogi. Był to mnich w czarnem ubraniu, siwy, z czarnemi brwiami i skrzyżowanemi na piersiach rękami. Jego bose nogi nie dotykały ziemi. Minąwszy Kowryna, obejrzał się, kiwnął głową uprzejmie i zarazem chytrze, potem podążył daleko w przestrzeń i zniknął. Od tego czasu Kowryn zaczął coraz częściej obcować z mnichem i prowadzić z nim ożywione dysputy naukowe. Nie zerwał tych stosunków nawet po poślubieniu Tani. Gdy jednak najbliżsi spostrzegli, że rozmawia z kimś dla nich nie-

widzialnym, a więc z sobą, zaczęli go energicznie leczyć z halucynacyi mlekiem, świeżem powietrzem itd. Jakoż wyleczyli zupełnie. Odzyskali filistra wraz z całą powszedniością życia. Kandydat na profesora stracił polot ducha. Ściągnięty z wyżyn, poczuł cały ciężar życia i jego drobiazgów. „Jakże byli szczęśliwi Buddha, Mahomet i Szekspir, że poczciwi krewni i lekarze nie leczyli ich z ekstazy i natchnienia... Lekarze i poczciwi blizcy zrobią to, że ludzkość stępieje, że miernota będzie uważana za geniusz, a cywilizacya zniknie...“ Kowryn znienawidził to całe swoje otoczenie, porzucił je i wraz z inną towarzyszką wyjechał do Krymu, ażeby wzmocnić słabe płuca przed objęciem katedry. Kiedy w Sewastopolu rozsnuwał piękne plany, naraz jak grom spadł list żony: „W tej chwili umarł mój ojciec — pisała — tobie to zawdzięczam. Nienawidzę cię całą duszą i pragnę, żebyś jak najprędzej zginął. Bądź przeklętym! Miałam cię za niezwykłego człowieka, pokochałam: tymczasem okazało się, żeś ty waryat!..“ Kowryn usiłował zapanować nad sobą, pokonać wrażenie pracą. Poczem wyszedł na balkon. Było to wieczorem. Naraz widzi: po drugiej stronie zatoki czarny wysoki słup szybko posuwa się ku niemu... Kowryn ledwie zdążył ustąpić mu z drogi. Mnich z odkrytą, siwą głową, z czarnemi brwiami, boso, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, stanął na środku pokoju: „Dlaczegożeś nie wierzył mi — zapytał z wymówką, lecz łagodnie. — Gdybyś był mi wtedy uwierzył, żeś geniusz, tobyś nie spędził tych dwóch lat tak smutnie i jałowo.“ Kowryn poczuł, że mu krew płynie z ust na piersi. Chciał zawołać swoją nową towarzyszkę Barbarę i zawołał: Tanin! Gdy Barbara wyszła ze swego pokoju. Kowryn już leżał martwy z zastygłym, błogim uśmiechem na twarzy.

Powieść ta, ze wszech miar oryginalna, robi głębokie wrażenie i zmusza czytelnika do rozmyślania. Powszedniość, nędza duchowa życia, ta szara pustynia codzienna, złożona z piasku drobnych dusz i drobnych uczuć, wstrzymuje orle poloty, zasłania wszelkie miraże niebotyczne. Poczciwe otoczenie i różni lekarze leczą z halucynacyj. Waryatem jest, kto pełzać nie chce, kto swojej duszy w drobnych pyłkach nie rozsieje, kto usuwa mgły nizin, a na ich miejsca postacie czarnych mnichów rzuca. Przeklęty kto rozpaczliwie walczy z zagładą!.. *)

Zenon Pietkiewicz.

ODCZYTY.

Stanisław Belza: *Z podróży po Sycylii.* — Walery Gostomski: *Co to jest dramat wagnerowski.* — Dr. H. Nusbaum: *Ideał dobra ze stanowiska hygieny ciała i duszy.*

Znasz-li ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask,
Majowe złoci drzewa?

Jeżeli go nie znasz, słuchaczu, to nie poznasz z odczytu p. Belzy. Prelegent jest autorem wielu książek. Powziął sobie za zadanie co rok odbywać dalekie podróże i co rok wzbogacać literaturę dużym tomem opisu swoich wrażeń. Jest tam wszystkiego po trosze: historyi, geografii, etnografii, mitologii, pamiątek, wszystko to rozłożone na kobiercu kwiecistym, jak opisy przewodników na kartkach ozdobionych ilustrowaną reklamą. Ktoby chciał z tych książek czegoś się nauczyć, skorzysta niewiele; ktoby chciał je wziąć za wskazówki w podróży — dozna zawodu. Baedecker prawdziwy więcej mu dopomoże i więcej nauczy, niż te dzieła obszerne. Pomimo pozornej erudycyi, ozdobnie przetykanej wrażeniami subjektywnemi, autor jest sobie przelotnym spostrzegaczem. Tam, gdzie trzeba poświęcić lata studyów, czerpie obfitą ręką materyał pierwszy lepszy i tworzy książki, które są tylko owocami wrażeń wakacyjnych. A jednak musimy przyznać, że dzieła p. Belzy mają wielkie powodzenie, niektóre liczą nawet po parę wydań. Nie świadczy to wszakże o ich wartości, tylko o tych znamiennych gustach i wymaganiach ogółu czytającego, do którego autor umie się przystosować. Wrażenia wakacyjne są lekką lekturą wakacyjną, a więc bardzo poszukiwaną.

Ten sam charakter, co dzieła p. Belzy, nosi i jego odczyt. Przedewszystkiem zanadto kwiecisty styl, baraszkowanie ze słuchaczami i chęć schlebiania najmniej wybrednym. Stąd za dużo niefortunnych cytat i porównań z Mickiewicza: stąd Sycylia staje się... Zosią z „Pana Tadeusza.“ Autor widzi dwie dziewczyny, które, idąc w objęciach, zanoszą się od śmiechu. Pokazuje ten obrazek na ekranie i woła: „Patrzcie, co za szczęśliwy, co za wesoły ten kraj słoneczny!“ I obok tego wesela przesuwa tragiczne panoramy *vendetty* i *maffii* (zemsty krwawej i fałszywego świadectwa). Szczęście, nurzające się w krwi ludzkiej! „Lud ten nie zna smutku i troski!“ — zapewnia p. Belza; ale jednocześnie dowiadujemy się o nędzy, apatyi, zezwierzęceniu tych szczęśliwych ludzi, tych najciemniejszych w kraju najsłoneczniejszym, spadłych na najniższy poziom kultury. Pocieszmy się, bo oto ci nędzarze moralni, duchowi i materyalni spojrzą na zabytki dawnej cywilizacyi wysokiej, na te strzaskane kolumny świątyń greckich i naraz przejrzą: w dusze ich wstąpi nowe odrodzenie pod wpływem tych szczątków z zamierzchłej przeszłości. Skrzydlaty duch grecki zleci z wyżyn olimpijskich i w tych mieszańcach, złepkach fizycznych i duchowych, wznieci dobro, piękno, sprawiedliwość i miłosierdzie, zapali przed nimi wspaniałe pochodnie szczęścia! Słowem, ta wyspa cudowna w cudowny sposób odrodzi jej mieszkańców, bo bezpośrednio za pomocą tych bodźców, jakie społeczeństwom wysoce cywilizowanym, a raczej tylko ich nielicznym wybrańcom, służą do doskonalenia się. Sycylia, ze względu na swoje wyjątkowe przejścia historyczne, może być niewyczerpaną kopalnią nietylko dla eksploatatorów siarki, o której wspomina prelegent, nietylko dla historyka, lecz dla historyozofa i socyologa. To wszakże są dziedziny zupełnie obce dla podróżnika, który „zgłębia“ kraj, jego dzieje historyczne i socyologiczne z okien wagonu lub z pokładu pierwszej klasy. Jednakże odczyt p. Belzy miał powodzenie, jak i jego „dzieła.“ Cel więc osiągnięty. Prelegent dostarczył środków na zakupienie pewnej ilości rumianku do leczenia choroby organizmu społecznego, tj. do zbawienia drobnej garstki małoletnich przestępców, których Towarzystwo osad rolnych usiłuje odciągnąć od *vendetty*, *maffii* i ciężkich robót.

Poważny, jakkolwiek dla szerszego ogółu nieciekawy był odczyt p. Walerego Gostomskiego. Nasza „inteligencya“ jest bardzo „muzykalna,“ ale nie do tego stopnia, ażeby się mogła interesować studyami o Wagnerze. Prelegent starał się ogarnąć całą działalność tego niezwykłego człowieka, jako artysty, muzyka, poety, myśliciela, reformatora teatru i sztuki dramatycznej. Nic też dziwnego, że o tak rozległej działalności różne sądy wydawano, tem bardziej, że krytycy jego podzielili się na dwa całkiem odrębne obozy: bezwzględnych czcicieli mistrza i uprzedzonych jego przeciwników. Do pierwszych zapisał się również prelegent, co mu wszakże nie przeszkodziło scharakteryzować twórczości Wagnera w najszerszych granicach: zdaje się więc, że przybyło nam pierwsze studyum w tym rodzaju. Charakterystyczną cechą twórczości mistrza jest to, że sam układał tekst, czyli tak zwane libretta do swych oper. Musiało to wpłynąć zasadniczo na charakter jego kompozycyj muzycznych. Nie mógł on być wyłącznie „poetą słowa,“ gdyż czuwał nieodzowną potrzebę nietylko wypowiedzenia, lecz także wyśpiewania swych stanów wewnętrznych, ale nie mógł być jedynie „poetą tonów,“ gdyż wszystkie uzewnętrzniające się w nich poruszenia serca tak dokładnie uświadamiały się w jego umyśle, tak ściśle były zjednoczone z określonemi ideami i wyobrażeniami, że bez pomocy słowa nigdy całkowicie wyrazić się nie dały. Do tego jeszcze się dołącza wielkie intenzywne poczucie kształtów konkretnych, zbliżające muzyka-poetę do największych mistrzów sztuki plastycznej. Nadto prelegent przypisuje mu „pierwszorzędne zdolności refleksyjne, pozwalające zaliczyć go do najznakomitszych myślicieli współczesnych.“ Na szczyty *najznakomitszych myślicieli* prowadzą trudniejsze drogi, do zdobycia zaś tych wyżyn wymagane są większe kwalifikacye umysłów genialnych, niż te, jakie daje muzyka, poezya, a nawet plastyka i zdolność refleksyjna Wagnera. Prawda, że nie wszystkie płody geniuszów są dostępne dla mas, ale to, że muzyka wagnerowska również nie jest dla nich dostępna i nie prędko jeszcze będzie zrozumiała, nie upoważnia do stawiania mistrza tonów, jak to czyni p. Gostomski, obok najznakomitszych myślicieli współczesnych, popychających przecież całą ludzkość naprzód. Istotnie, muzyka częstokroć więcej mówi i bardziej porywa, niż słowa literatury pięknej, wypowiedziane nawet w ekstazie; i można się zgodzić zupełnie z twierdzeniem p. Gostomskiego, że duch naszych czasów tak okropnie został zamącony przez gwałtowny pęd zdarzeń politycznych i cywilizacyjnych i ujawnił tyle pragnień niezişzczonych, nadziei zawiedzionych, złudzeń rozwianych, że tego wszystkiego niepodobna słowami wyrazić; więc przychodzi z pomocą muzyka, „ta naturalna rzeczniczka wszelkich nieokreślonych stanów i nastrojów duchowych.“ Ale to przecież sfera uczuć, nie rozumu, więc muzyka nie może, jak chce p. Gostomski, być najodpowiedniejszym organem wewnętrznych pragnień życia współczesnego. Pragnienia te są tak szerokie i tak określone, że ich nawet „muzyka przyszłości“ nie potrafi wyrazić.

Sam przecież prelegent twierdzi, że dramat, jeśli się miał stać pełnym obrazem całej istoty życia współczesnego, musiał skupić w sobie i zużytkować odpowiednio wszelkie środki ekspresyi, jakie się wyrobiły w dotychczasowym rozwoju sztuki, wziętej w najobszerniejszym zakresie. Ale znowu wpada w przesadę, przyznając Wagnerowi wszechstronną genialność w tej mierze. Umiejętność skupiania wszelkich środków ekspresyi jeszcze nie jest największą wyżyną siły dramatycznej, nie jest, że tak powiemy, kwintesencyą wszechbólu i wszechekstazy ludzkości. Muzyka genialna, choćby wagnerowska, nawet wzmocniona tekstem tego mistrza, jest tylko jednym ze środków, dodajmy — potężnych, nigdy zaś całością, wyrażającą pragnienia i dążenia życia. Wagner nie może być ani Szekspirem, ani Goethem, ani Mickiewiczem. Jego „Lohengrün“ i „Tanhauser,“ to nie „Hamlet,“ nie „Faust,“ nie „Dziady.“ Opera jest najsłabszą formą dramatu, bo nie daje prawdy. Arye, śpiewane przez konających, gwałtowne wybuchy tonów, wyrażające cierpienie duszy, mogą poruszyć tylko nerwy, nie uczucie i umysł. Pra-

*) W charakterystyce twórczości Czechowa starałem się przedewszystkiem uwydatnić znamienne rysy jego talentu i idei. Z tego względu, wysuwając jedne szczegóły, musiałem pominąć inne, nadające się do rozbioru i odbiegłem od zwykłego szablonu „krytyki,“ która imponuje przeciętnym czytelnikom.

wda, że Wagner pod tym względem przerósł wszystkich dramatopisarzów muzycznych, wyłamał się z wąskich ram szablonu i dlatego stał się reformatorem teatru. Nietylko przekroczył zakres opery, ale nawet w zupełnem rozwinięciu „stał się — jak mówi p. Gostomski — bezwzględnem jej zaprzeczeniem.“ Nie mniej wszakże opera stanowi punkt wyjścia jego rozwoju.

Dramat wagnerowski nie powstał samorzutnie. Łączył się on z twórczością muzyczną naszej epoki, a co ważniejsza, zaczerpnął z niej pewne zasadnicze pierwiastki swej treści wewnętrznej. Dostarczyła mu ich muzyka Beethowena. Sam Wagner stwierdził niejednokrotnie ścisły związek twórczości swojej z bethowenowską. Dzięki wszakże wyjątkowej wszechstronności swego umysłu i natury twórczej, potrafił wniknąć w najgłębszą istotę motywów pierwotnych i odtworzył je artystycznie z całem ich bogactwem wewnętrznem.

Wagner — według ostatecznej charakterystyki p. Gostomskiego — był przedewszystkiem mistrzem sztuki teatralnej, pojętej przez niego w najszerszym jej zakresie i najwyższych zadaniach. Dzięki wyjątkowej wszechstronności swych uzdolnień twórczych, pomnożył on nieskończenie jej środki artystyczne przez potężny czynnik ekspresyi muzycznej i udoskonaloną plastykę obrazowania scenicznego, a dzięki swym rozległym i głębokim sferom umysłowym, mógł podjąć dzieło zasadniczej reformy sztuki, prowadzonej tym sposobem na nieznane dotąd wyżyny.

Wogóle studyum p. Gostomskiego posiada charakter poważny, a tło dosyć rozległe. Bardzo dobrze, chociaż pobieżnie, autor rozwinął dzieje powstawania i kształtowania się sztuki muzyczno-dramatycznej. Szkoda tylko, że za wysokie narzucił jej posłannictwo, a Wagnera otoczył niemal aureolą apostolstwa.

Nad odczytem dr. H. Nussbauma nie będę się rozwodził, ze względu, że treść jego wkrótce poznają czytelnicy *Prawdy*. Zaznaczyć tylko chcę tutaj parę uwag, nasuwających się słuchaczowi po wyjściu z sali odczytowej. Przedewszystkiem: jak piękne są rady dra Nussbauma, a jak trudne zastosowanie ich w życiu! Chcąc odrodzić społeczeństwo wewnętrznie, chcąc te egoistyczne i brutalne burze z jego duszy usunąć, zabić te wszystkie namiętności i wzruszenia, cynicznie oddziaływające na zdrowie duchowe i fizyczne, nie dosyć jest przeczytać przykazania hygieniczne, a nawet nauczyć się ich na pamięć. „Kochać ludzkość całą, to brzmi pięknie, ale tylko brzmi.“ No to mogą się zdobyć tylko jednostki o wiele przerastające tłum. Najniezawodniejszą i najtrwalszą jest tylko protoplazma wszelkich uczuć — miłość własnego „ja.“ To, co dr. Nussbaum zaleca społeczeństwu, da się osiągnąć może w części dopiero po wielu wiekach.

P.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Koncert na fortepian Stojowskiego. — „Sonety krymskie“ Moniuszki.

Mimo tak wielkiego ożywienia koncertowego, nasze instytucye muzyczne, jak to widać z programów bieżącej pory, niewiele dbają o urozmaicenie produkcyi estetycznych nowymi utworami kompozytorów swojskich lub obcych.

Co prawda, nasze stowarzyszenia muzyczne mogą się tłomaczyć, że nie jest to wyłączną ich winą, główną bowiem rolę w wyborze muzycznych nowości odgrywają artyści, występujący na estradach koncertowych, którzy podług swego zasobu techniki i upodobania rozporządzają prawie dowolnie repertuarem muzycznym.

Z tem jednakże nie można się zgodzić: ciągłe powtarzanie tych samych utworów, do tego nielicznych, chociażby one były najpiękniejsze, wywołują pewien przesyt, co łatwo da się wyjaśnić znużeniem zmysłu słuchowego, który w odbieraniu ciągle jednakowych wrażeń z natury rzeczy musi być ciągle jednakowo naprężony, a tem samem nietylko osłabiać się w przyjmowaniu wrażeń słuchowych, lecz także — w niektórych razach rozdrażniać nerwowo. Wreszcie nietylko potrzeby fizyologiczne, lecz i inne wyższe cele powinny pobudzić do działania w pożądanym kierunku nasze towarzystwa muzyczne, śpiewacze, kwartetowe, a także zarówno artystów, jak pedagogów.

Ci ostatni w nauczaniu posługują się prawie tylko wyłącznie kompozycyami klasycznemi, a jeżeli znajdzie się w ich repertuarze jakaś nowość (z przed dwudziestu laty), to już po za tem nie mogą, czy też nie chcą lub nie mają poprostu czasu rozpatrzyć dzieł muzycznych z ostatnich dziesiątków lat. Toż samo — mniej więcej — da się powiedzieć i o naszych dyrektorach orkiestry, chórów, o kierownikach muzyki kameralnej itd...

Ażeby dać pojęcie o takim stanie, nadmienię, że tylko Towarzystwo muzyczne, licząc od początku sezonu, wprowadziło do programu jeden nowy o większych rozmiarach utwór muzyczny, mianowicie koncert fortepianowy *fis-mol* Zygmunta Stojowskiego, (op 3).

Autor tego dzieła, przebywający stale w Paryżu, jako kompozytor znany nam jest zaledwie z korespondencyj paryskich, a przecież jego utwory od dość dawna w druku się ukazują i mógłby już wejść do naszych programów i obznajmiać miłośników muzyki z rozwojem swojskiego talentu.

Jednak teraz dopiero przypadkiem talent Stojowskiego ujawnił się naszej publiczności. Oto nieznana nam fortepianistka, panna Baese, wiedząc zapewne o naszych potrzebach artystycznych, wybrała to dzieło do wykonania w Tow. muzycznem.

Tematy tego koncertu, jakkolwiek nie oparte na swojskiej nucie, w budowie swej są interesujące, a przytem świeże i melodyjne: nie brak także w nich urozmaicenia rytmicznego, co jeszcze bardziej zajmuje, ponieważ autor uwydatnia ruch umiejętnie użytym kolorytem orkiestrowym.

Forma tego utworu chociaż ma swe określone ramy, jednak o tem może tylko wiedzieć muzyk-teoretyk, przeciętny zaś słuchacz nie zdoła objąć uchem głównych melodyi, które stanowią formalną stronę utworu, główne bowiem tematy giną wobec przeładowania różnymi drobnymi szczegółami: takie tu mnóstwo króciutkich motywów, nieraz bardzo interesujących, tyle przytem pomysłów instrumentacyjnych, w pięknym kolorycie użytych, a jeszcze do tego dodać trzeba wielką ilość kombinacyj w harmonii, nieraz zbyt śmiałej, bo ciągle dysonującej — że wszystko to, chociaż świadczy pochlebnie o talencie Stojowskiego, lecz zarazem zaciera przejrzystość kompozycyi.

Partya fortepianowa, chociaż ma stanowić główny, bo solowy instrument, często ginie w głośnej orkiestracyi, i jedynie w części środkowej przewaga fortepianu nad orkiestrą uwydatnia się w płynnej i pięknej melodyi.

Nastrój tematów koncertu Stojowskiego jest więcej, niż smętny; jakaś boleść, czy też rozpacz, snuje się w silnie zaakcentowanych melodyach. I nic w tem niema nienaturalnego: młody bowiem wiek jest wrażliwszy na wszelkie objawy smutku, stąd i nuta jego smętna.

Przy sposobności zaznaczę, że na piątym symfonicznym koncercie w Teatrze Wielkim pod dyrekcyą p. Młynarskiego wykonano „Sonety Krymskie“ na orkiestrę, chóry i głos solowy.

Pierwszy raz to dzieło poetyckiego i lirycznego nastroju było wykonane [illegible] nieśmiertelnego naszego pieśniarza. Od tego zaś czasu, pomimo że upłynęło już przeszło lat trzydzieści, wykonano je w całości zaledwie parę razy.

Komuż są nieznane piękne strofy „Sonetów“ Mickiewicza?

Moniuszko wybrał z nich najbardziej podatne, dzieląc całość na trzy części.

Pierwsza ilustruje muzyką „Stepy Akermańskie“ (Wstęp), dalej „Ciszę Morską,“ „Żeglugę“ i „Burzę.“

Tutaj wymienić wypada, że środki, jakimi rozporządzał p. Młynarski, obecnie są już niewystarczające.

Dla odmalowania obszarów morza, żeglugi i burzy należałoby i orkiestrę i chóry wzmocnić, wówczas tylko możnaby otrzymać całkowite wrażenie wspaniałych obrazów.

Część druga najbardziej liryczna: smętna pieśń „Ruina,“ następnie wspaniała „Noc“ i wreszcie podniosły „Hymn“ oddane są z niezwykłą mocą czarującego dźwięku.

Marząca pieśń „Pielgrzyma,“ zaczynająca się od słów:

„U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice:
Dlaczegóż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie i—o estety!—jeszcze dalsze czasy?“

a następnie „Epilog,“ rozmyślanie poety, stanowią część ostatnią tego wspaniałego poematu muzycznego.

Pożądane byłoby ponowne wykonanie tego dzieła, w warunkach bardziej odpowiednich, aby dać możność usłyszenia szerszej publiczności.

Ig. Pilecka.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

GOSPODARSTWO SPOŁECZNE. T. Kudelka: „Nasze kółka rolnicze,“ rzut oka na stan obecny, zadania i potrzeby kółek rolniczych w Galicyi (34 str.). Kraków.

PSYCHOLOGIA. Dr. A. Wyczałkowska. „Szkice psychologiczne“ (158 str.). Kraków, Anczyc.

HISTORYA. W. Grzymałowski: „Dzieje Polski“ w krótkim zarysie dla użytku młodzieży (156 str. — 30 kop.). Dubowski.

DLA LUDU. Antoszka: „Poczciwy Marcin i Felek niecnota,“ J. Szujski: „Obrona świętej Częstochowy,“ wydanie nowe — po 15 kop. Kuliński.

POEZYE

Z IV seryi poezyj.

DUSZA W POWROCIE.

Szukam napróżno — odnaleźć nie mogę...
Nie mogę znaleźć dawnej duszy mojej...
Gdzież jest? Gdzie znikła?... Ach! przede mną stoi
Jakiś cień — jodła widna przez szeżogę.

Jakiś cień, mara, blada, nikła zjawa —
Smutno się, trwożnie, bojaźliwie do mnie
Z za mgły uśmiecha — patrzę nieprzytomnie,
Strach mi wśród piersi zrywa się i wstawa!

To widmo — to jest — moja dusza?! Moja
Dusza?! To widmo?! Ten cień?! To konanie?!
To dusza moja?!.. Naokół otchłanie
I mgły... Tak jest: to ona. Mówi: to ja.

To ja... Tak jest: to ty... Ty .. Gdzieżeś była?
Milczy. — Skąd wracasz? Powiedz... Schyla głowę.
Mów... Głowa na pierś spada... Przez niezdrowe
Szłaś kraje?.. Drży, jak haszyszem opiła.

Wróciłaś?... Szepce: tak — i patrzy w oczy,
Jak pies, co zwlókł się i wraca ku nodze.
Ty jesteś dusza moja... po złej drodze
Szłaś — nawet krew ci, spojrzyj, stopy broczy.

Nie czujesz?... Przeczy głową. Zziębła, blada:
Nie czuje bólu, krwi na stopach. — Długo
Błądziłaś kędyś — patrz: czerwoną strugą
Za tobą bieży krew, co z nóg twych pada.

Długo nie było cię. Pójdź, chcę ci rany
Obetrzeć z krwi... lecz gdzie są skrzydła twoje?!
Gdzie skrzydła?! Powiedz! Mów! Jak orzeł dwoje
Skrzydeł szerokich miałaś, jak orkany!

Mów! Mów!! Na Boga! Gdzie twe skrzydła? Duszo!

Dwa miałaś skrzydła, wielkie, silne, duże —
Gdzież są?!... Noc legła na całej naturze,
Mgły kłębem spadły w dół i światło głuszą.

Gdzie skrzydła?... Pustka... Zapomniałem ciebie.

Nagle uczułem w sobie, że cię niema,
Zacząłem szukać — przyszłaś, jesteś... Niema
Cisza na ziemi zwisła i na niebie.

Nagle cię znaleźć i mieć zapragnąłem:
Jesteś — ta sama, co tam, na Jeziorze, *)
Chłonęłaś w siebie świat... Przyszłaś w pokorze
Z bezwładną ręką i spuszczonem czołem...

W źrenicach suchość masz, w skroniach pożogę,
Twe skrzydła strzęp, proch duma twa i siła,
Na stopach twoich krew... Wiem już, gdzieś była —
Znowu ci Anioł śmierci przeszedł drogę.

Kaz. Tetmajer.

O PRAWDĘ.

Wielka krzywda, jaką miałem wyrządzić Łodzi artykułem p. t. „Ziemia obiecana,“ zamieszczonym w 5, 6, 7 i 8 numerach *Prawdy*, natchnęła p. L. Przedborskiego uczuciem takiego szlachetnego oburzenia, że — rozdarłszy na sobie ze smutku, w jaki on go pogrążył, szaty — strzelił do mnie w nr. 54 i 55 *Rozwoju* łódzkiego mściwym zarzutem szkalowania tendencyjnego.

Pełen rycerskiego animuszu i sykofanckiego zachwytu, w jaki go wprawiają idealne stosunki ogólno-społeczne tego miasta, twierdzi on, że ja „zagłębiając śmiało i badawczo sondę w jego (typu łódzkiego) wewnętrznej istocie (po polsku: istotę wewnętrzną), dochodzę do przekonania, że ludność Łodzi szwankuje na zdrowiu,“ ale „nie będąc lekarzem (sic!), cierpienia tego nie zdefiniowałem.“ Nic więc dziwnego, że moje zapatrywanie jest skutkiem tego — pomimo śmiałego i badawczego zagłębiania sondy — „z gruntu fałszywe.“

Ponieważ p. P. jest na szczęście właśnie lekarzem i to takim, który „przez 15 lat praktykując w Łodzi,“ „bezpośrednio obserwował“ „każden (po polsku: każdy) pogodniejszy i jaśniejszy promień radosny“ na „niemiłych dla p. B. (po polsku: panu B.) czołach łódzkich“ i który wcale nie znajduje, aby w Łodzi panował „wszechwładnie jeden tylko kult dla rubla“ (po polsku: kult rubla), więc poucza czytelników *Rozwoju* i mię o istotnych stosunkach życia łódzkiego, zaopatrując jednocześnie moje wywody w uwagi, pełne nieraz bardzo subtelnej finezyi kabalistycznej. Gdy ja, kreśląc na tle rozwoju ekonomicznego obraz rozpasania egoizmów w pogoni gorączkowej za majątkiem, mówię, w przenośnem naturalnie znaczeniu, o instynktach krwiożerczych, p. P. z najpoważniejszą w świecie miną stwierdza fakt, że nietylko on, lecz wogóle „nikt nie słyszał o wypadkach... kanibalizmu“ w Łodzi, a jeśli nawet te instynkty krwiożercze istniały, to — ciągnie dalej nasz socyolog nieoceniony — „po zreformowaniu i liczebnem zwiększeniu składu policyi, statystyka kryminalna wykazuje stanowczy zwrot ku lepszemu.“ Gdybym był, charakteryzując etyczno-intelektualną fizyognomię mieszczaństwa łódzkiego, wskazał na zdumiewający brak ideałów ogólnych w jego życiu, p. Przedborski odparłby niezawodnie z niemniejszą powagą, że praktykując przez lat 15 w Łodzi jako lekarz i mając przystęp ułatwiony do wszystkich warstw ludności, przekonał się, że tam każdy młodzian i każda dziewoja posiadają przynajmniej po jednym... ideale, że więc mojemu twierdzeniu najkategoryczniej kłam zadać musi. Bo, jak z dalszych cytat się przekonacie, p. P. jest niezwykle bystrym i przenikliwym spostrzegaczem. Gdym wytknął istniejące w Łodzi rozprzężenie moralne, stanowiące wynik rozstrzelonych egoizmem zabiegów różnoplemiennej gromady żywiołów, społeczeństwu polskiemu obcych i z niem niczem niezwiązanych, p. Przedborski, którego niezmierny i jakiś nieludzki zachwyt dla wszystkiego, co w Łodzi istnieje, ani na chwilę nie opuszcza, „pozwala sobie wygłosić paradoksalne na pozór (tylko na pozór!) przekonanie o spoistości etycznej,“ dającej się stwierdzić tem, że „przeciętny Łodzianin, dążąc wytrwale do wywalczenia sobie i rodzinie dobrobytu i szczęścia, ślubuje dozgonną wierność (komu?) i w jej uszlachetniającym wpływie znajduje dzielną opokę i tarczę przeciw rozprzężeniu moralnemu.“ Czy nie rozrzewnia was jeszcze ta sielanka? Trzeba chyba mieć serce twarde, jak kamień, aby choć kilku łez serdecznych nie uronić na widok tak przykładnych i budujących stadeł małżeńskich. Czego jak czego, ale humoru bezwiednego szanownemu obrońcy niesłusznie potępionych stanowczo nie brak. Lecz to nie koniec.

Nie zaprzecza wprawdzie p. P., że „pycha liczy w Łodzi bardzo wielu przedstawicieli,“ utrzymuje nawet, że wogóle „graniczy ona z głupotą i ciemnotą umysłową“ (no, proszę!), ale żeby miała być aż potworną, na to on się nigdy nie zgodzi.

O czemkolwiek jest mowa, p. P. z powagą i namaszczeniem wielkiego rabina co rychlej zagląda do talmudu medycznego, poszukując w nim odpowiedzi na wszelkie możliwe pytania. To też gdy ja mówię o idyosynkrazyi wobec spraw ogólniejszej natury, szanowny p. konsyliarz, rzucając ogniste spojrzenia w moją stronę, z podziwu godnym sprytem rezonuje w ten oto sposób: „Zaznaczam, że od lat wielu spotykam się bardzo często z objawami idyosynkrazyi patologicznej,“ że „X po każdorazowem spożyciu poziomek lub malin jest gnębiony straszliwie pokrzywką, a Y, zwolennik rzadkich gatunków sera, stale po zaspokojeniu swego popędu gurmandowskiego wije się przez pewien czas w bolesnych kurczach żołądkowych,“ „obrazu jednak społecznej idyosynkrazyi w Łodzi pomimo bezpośredniej obserwacyi ani razu nie widziałem.“ Ależ szanowny konsyliarzu, niechże przecież konsyliarz stuknie się palcem w czoło i pomyśli bez talmudu medycznego nad przysłowiem polskiem: gdzie Krym, gdzie Rzym, gdzie karczmy babińskie... Nie widział zaś takiego obrazu, pomimo że „inteligencya nasza (tj. łódzka) posiada pewien kapitał duchowy“ (co przecież powinno było ułatwić to spostrzeżenie), jakkolwiek „pożądany — zdaniem p. P. — dodatek“ milionów, „stanowiący zejście ślepego trafu,“ nie jest, niestety, jej udziałem, „jeżeli zaś ona w postępowym ruchu nieraz *odstaje* (ach, języku nieszczęśliwy!), to dzieje się to wskutek tego, że „pozbawiona doświadczonego kierunku ludzi szerokiej wiedzy“ „po szczytnej drodze światła i postępu mozolniej zazwyczaj posuwać się ona może.“

Gdym napiętnował smutny objaw przystosowywania się jej do swego środowiska, p. P. z pewną emfazą filozoficzną dowodzi, że... „prawo przystosowania obowiązuje wszystkich i wszędzie i stanowi ten wspólny wszystkim istotom żywym (a więc nie wyłączając wielu lekarzy) oręż, który pomimo nieustającej ani na chwilę walki o byt (bardzo słusznie!) pozwala im stale się doskonalić i utrwalać swój byt własny.“ Dzięki też tej umiejętności przystosowywania się inteligencyi łódzkiej do środowiska — powiada p. P. z niezwykłem roztkliwieniem, mogącem skały poruszyć — możnowładcy łódzcy ściśle się z nią liczą, chętnie obcują, często (no, no!) korzystając z ich (?) rad i pracy, a nawet, jak wykazało doświadczenie ostatnich lat, plutokratyczną swą krew często odświeżają (proszę, proszę!) i uszlachetniają za pomocą przymieszek z odżywczych soków inteligencyi miejscowej,“ że więc „w tem mętnem trzęsawisku, jakiem jest Łódź, gdyby tak poszukać uczciwie, odnalazłby się niejeden obraz jasny i ciepły.“ Nigdy nie wątpiłem, szanowny panie, który chcesz być *plus catholique que le pape meme*, że możnowładcy łódzcy „ściśle się z inteligencyą liczą,“ ale chyba tylko wówczas, gdy ona im swoje rachunki za honoraryа przedstawia.

Rozprawę swoją kończy p. P. rozdzierającym serce okrzykiem bolesnym: „Już to Łódź szczęścia do swych pisarzów nie ma,“ którzy „piórem w żółci i niechęci maczanem“ malują „najwstrętniejsze jej wady.“

Tak kruszy kopię w obronie poszkodowanych mąż, którego krzywda, jaka im się stała, do żywego dotknęła. Wdzięczność też wielka należy mu się od nich po wsze czasy za ten czyn bohaterski.

Maurycy Budior.

Szanowny Redaktorze.

Zechciej łaskawie zamieścić w *Prawdzie* parę uwag, dotyczących kwestyi, poruszonej w artykule p. Zenona Pietkiewicza „Jak pracują nasze kobiety?“ (w nr 8). Otrzymały one ostre napomnienie, niezupełnie jednak zasłużone. Że u kobiet zbyt często spotyka się słabe poczucie obowiązku, lekceważenie i powierzchowne traktowanie przyjętej pracy, zarozumiałość płynąca z małej wiedzy i stąd wygórowane wymagania — wszystko to jest prawdą, lecz to, że kobieta wnosi do każdego swego zajęcia uczucie tymczasowości i marzy o zamążpójściu, nie jest jej winą, ale nieuniknionym wynikiem jej dzisiejszego położenia w społeczeństwie. Bo jeżeli w zakresie naszej kultury jedynie małżeństwo zapewnia pełnię życia kobiecie z ocaleniem jej godności — wzdychanie do „wybawiciela męża“ jest chyba naturalne.

Z owej nieszczęsnej tymczasowości pochodzą wszystkie powyżej wymienione wady kobiece. Ona je zniechęca do nabywania wykształcenia fachowego, odwodzi od sumiennego spełniania przyjętych obowiązków, od poważnego zastanawiania się nad życiem i pracy nad wyrobieniem zasad i charakteru. Słowem, wtrąca w to błędne koło, które miażdży jednostkę a ogółowi nieobliczone szkody przynosi. Zmiana tego porządku rzeczy nie leży w naszej mocy, mają wszakże prawo domagania się sprawiedliwego sądu od wygodnie urządzonych panów stworzenia owe ciche bohaterki dramatów życiowych, przekraczających nieraz o wiele siły męzkie. W ich imieniu o sąd taki proszę.

Czytelniczka Prawdy.

W DALI.

Radom. Niedawno urządzono kursy rysunkowe dla terminatorów miejscowych. Lekcye są zupełnie bezpłatne i odbywają się w środy i soboty od godz. 7—9 wieczorem: nadto uczniowie otrzymują darmo materyały rysunkowe: papier, gumy, ołówki, scyzoryk i miarkę centymetrową, w najbliższej zaś przyszłości dostaną przybory cyrklowe do rysunków technicznych. Naukę rysunków pobiera 51 terminatorów cechowych: stolarskich, ślusarskich, kowalskich, blacharskich itp.; rozpoczęła się oną w październiku r. z. i ma trwać przez trzy lata, obejmuje rysunki ornamentów płaskich, z natury: modeli geometrycznych drewnianych i drucianych, ornamentów gipsowych, następnie zaś modelowanie

*) Z tego samego cyklu drukowałem w *Prawdzie* [illegible]

z gliny i kompozycyę. Oprócz tego wykładane będą rysunki techniczne i kreślenie. Kursy zawdzięczają swe powstanie uchwale kasy przemysłowców w Radomiu, którzy udzielili z czystych zysków swojej instytucyi 300 rb. Drobny niedobór poniosą kasy cechowe. — Powstała w Radomiu filia Towarzystwa opieki nad zwierzętami, licząca 34 członków.

Lublin. *Lublins. Gub. Wied.* piszą: „P. minister skarbu wyraził życzenie, żeby urządzane przez komitety trzeźwości gub. Lubelskiej czytelnie, herbaciarnie i biblioteki były zaopatrywane w wydawaną przy kancelaryi general-gubernatora gazetę *Biesieda*, ponieważ jest to wydawnictwo, dopuszczone przez ministeryum oświaty do czytelń ludowych. — Ten sam dziennik podaje wiadomość o liczbie prenumeratorów, otrzymujących za pośrednictwem miejscowego urzędu pocztowego pisma codzienne. W r. 1895 było ogółem 711 prenumeratorów, mianowicie: otrzymujących pisma rosyjskie 291, polskie — 420. W roku bieżącym liczba ta wzrosła do 1,108 (rosyjskie o 379, polskie o 729). Tym sposobem w wymienionym okresie czasu ogólna liczba prenumeratorów pism codziennych w Lublinie wzrosła o 55% (rosyjskich o 30%, polskich o 70%).

Siedlce. Ziemianie gub. Siedleckiej już mogą przystąpić do zawiązania spółki rolnej, której ustawę zatwierdzono. Członkami mogą być właściciele ziemscy płci obojej, dzierżawcy, administratorzy i wogóle osoby tudzież stowarzyszenia i instytucye, zajmujące się gospodarstwem rolnem w granicach gubernii. Liczba członków nieograniczona. Tryb przyjmowania ich określa zebranie ogólne. Członkowie płacą wpisowe 10 rubli na udział każdy i udział 100-rublowy, spłacalny jednorazowo lub ratami. Sprawami spółki kieruje zarząd z siedzibą w Siedlcach. Administracyę bezpośrednią sprawuje dyrektor z zastępcą, wybierani przez stowarzyszonych. Taką samą ustawę ogłoszono dla gub. Lubelskiej i Radomskiej.

Petersburg. Dzienniki rosyjskie podały szczegółowe sprawozdania z procesu w izbie sądowej saratowskiej na kadencyi w Tambowie. Sprawa ta wynikła z zajść w więzieniu karnem w Kozłowie. Streszczamy ten ciekawy proces według sprawozdania dzienników. Na ławie oskarżonych zasiedli: b. naczelnik więzienia w Kozłowie, Piotr Petrow, pod zarzutem bezczynności i nadużycia władzy, oraz dozorcy więzienia: Chodunow, Mosalskij, Moskwiczew i Gorunow — pod zarzutem znęcania się nad więźniami. Wszyscy wymienieni do winy się nie przyznali. Petrow twierdził, że objął zarząd domu kary na żądanie gubernatora, który mu powierzył doprowadzenie więzienia do należytego porządku, gdyż dotąd znajdowało się ono w stanie opłakanym, zarówno zaś p. P., jak i jego pomocnicy oświadczyli, że rozruchy w więzieniu w r. 1896 i skargi więźniów wynikły z zastosowania rygorów, niezbędnych dla zaprowadzenia karności. „Zeznania więźniów i świadków—pisze *Now. Wr.*—stwierdziły, iż Petrow prawie wcale do cel nie zaglądał, więźniowie czasami tylko widzieli go w biurze administracyi lub podczas wizytacyi domu kary przez dygnitarzy. Starszy dozorca stosował rozmaite kary. Karą stałą, nawet za przewinienia najdrobniejsze (np. za niezdjęcie czapki przed dozorcą) było zamknięcie w „piwiarni." Piwiarnią nazywano powszechnie kozę w piwnicy, a nazywano tak dlatego, iż po wyjściu z niej więźniowie nie mogli ustać na nogach, zataczali się, jak pijani. Do piwiarni w nocy przychodzili dozorcy wyżej wymienieni i bili więźniów pięścią, kluczami, darli za włosy, tłukli o podłogę asfaltową. Szczególnie znęcano się nad więźniem Kirsonowem, który z bólu wrzeszczał tak głośno, iż go było słychać na górnych piętrach. Wróciwszy do celi po czterech dniach kozy, Kirsonow pokazywał towarzyszom ranę na lewej ręce, zadaną pałaszem, koszulę miał zakrwawioną, a oględziny lekarskie stwierdziły, iż rana była zadana ostrem narzędziem. Więźniowie skarżyli się lekarzowi, lecz ten ich nie słuchał, Petrow zaś żadnych skarg nie uwzględniał. Jeden z więźniów, Pridorogin, dostał rózgi za to, że się skarżył. Petrow używał więźniów do posług osobistych. W kotłach do gotowania strawy więźniowie wynosili mydliny z wanny, w której kąpała się krewna Petrowa, mianowana przez niego dozorczynią oddziału kobiecego. A gdy więźniowie skarżyli się, P. groził, iż każe im w tychże kotłach wynosić nieczystości. Izba sądowa, na zasadzie werdyktu przysięgłych, skazała Petrowa na złożenie z urzędu (art 341), Gordunowa uznała za niewinnego, starszego dozorcę Mosalskiego skazała (art. 345) na więzienie do 8 miesięcy, dozorców Chodunowa i Moskwiczowa — na areszt (art. 347)."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. „Ognisko," polskie stowarzyszenie akademickie w Wiedniu, ogłosiło odezwę następującą: „Większość dłużników funduszu pożyczkowego stowarzyszenia naszego nie poczuwa się, mimo wielokrotnych upomnień pisemnych, do obowiązku zwrócenia pożyczek, udzielanych w czasie pobytu w wyższych zakładach naukowych w Wiedniu. Komisya pożyczkowa postanowiła w tegorocznem sprawozdaniu drukowanem wymienić nazwiska dłużników, lekceważących swe zobowiązania, a następnie sprawy powierzyć adwokatowi. Dłużnicy, którzy nie chcą, aby ich nazwiska umieszczone były w spisie, zechcą zwrócić należność najdalej do końca maja r. b. pod adresem: „Ognisko. Wien IX. Sechsschimmelgasse nr. 16."

Szkoły. Na mocy rozporządzenia kijowskiego kuratora okręgu naukowego, wykłady i zajęcia praktyczne w uniwersytecie miejscowym przerwane aż do specyalnego postanowienia ministeryum oświaty.

— Zarząd uniwersytetu petersburskiego starał się o zlagodzenie losu 78 studentów, wydalonych za udział w zajściach. Ministeryum oświaty zatwierdziło to podanie, które staje się zarazem ostatecznym wyrokiem. Opiewa on: Rozkaz Najwyższy polecił przywrócić porządek w uniwersytecie. Wszystkim 78 wydalonym studentom pozwolono wstąpić napowrót do uniwersytetu. Z pośród 78, którzy ucierpieli skutkiem swej porywczości, 29 skazano na naganę i areszt trzydniowy, reszcie zaś oznajmiono naganę.

— D. 13 b. m., jak donoszą dzienniki kijowskie, o godz. 1-ej po południu rozpoczęły się na nowo wykłady w kijowskim instytucie politechnicznym, przerwane w końcu lutego.

— Towarzystwo szerzenia zajęć praktycznych wśród kobiet inteligentnych wnosi do ministeryum rolnictwa projekt założenia w pobliżu Moskwy żeńskiego instytutu gospodarstwa wiejskiego z polami doświadczalnemi, gospodarstwem nabiałowem, hodowlą drobiu, ogrodami warzywnymi, ogrodem owocowym i gospodarstwem leśnem. Kurs ma być dwuletni, przyczem pozostawiono prawo uczenia się jednego z wymienionych działów gospodarstwa wiejskiego.

— Według *Pet. Wied.*, ministeryum oświaty wszczyna sprawę rozszerzenia kursu ogólnego gimnazyów żeńskich, celem gruntowniejszego nauczania przedmiotów głównych: języka rosyjskiego, matematyki, historyi i geografii.

Konkursy. Z zapisu Józefa Kurycrowa warszawskie Towarzystwo muzyczne przyznało nagrodę konkursową (180 rb.) p. Zygmuntowi Noskowskiemu za uwerturę symfoniczną p. t. „Step."

Odczyty. W sali Muzeum przemysłu i rolnictwa odbyły się następujące odczyty: Maryan Massonius: „Nauka i krytyka estetyczna"; Antoni Austen: „O artystach, publiczności i krytyce."

Wystawy i zjazdy. Czwarty zjazd wodociągowy odbędzie się w Odesie d. 14—23 kwietnia r. b.

— Drugi zjazd dentystów odbędzie się w Petersburgu 22—27 lipca r. b.

— Tegoroczną wystawę inwentarza w Warszawie postanowiono urządzić na części placu wyścigowego po za stajniami. Jednocześnie urządzono urządzić wystawę bydła rozpłodowego natychmiast po zamknięciu wystawy koni (między 15 a 18 czerwca). Posiadać ona ma cechę jarmarku, a więc okazy nie będą nagradzane.

Koleje i komunikacye. Zatwierdzono projekt budowy kolei wązkotorowej od Sulejowa do Piotrkowa.

— Od stacyi Wołczo, kolei Poleskiej, do miasteczka Korca, będzie zbudowana kolej podjazdowa, wązkotorowa, 65 wiorst długa. Koncesyonaryuszem jest hr. Poniński-Walewski. Studya budowy wykonało warszawskie biuro techniczne „Bohuszewicz-Skrzypiński." Kolej ta przechodzić będzie przez Berezno, Mokwin i Ludwipol. W Korcu podjęto budowę cukrowni kosztem Józefa hr. Potockiego. W Mokwinie istnieje fabryka tektury z masy drzewnej. W pobliżu Mokwina znajdują się bogate pokłady rudy żelaznej i kaolinu.

Przemysł i handel. Zatwierdzono pierwszą dotychczas w całem państwie ustawę warszawskiego Towarzystwa budowlanego „Użyteczność." Zadaniem przedsiębiorstwa jest budowa tanich domów i mieszkań na wspólny rachunek przyszłych lokatorów, którzy cenę mieszkań lub domów umarzać będą w cenie komornego. Kombinacya ta połączona jest z ubezpieczeniem na życie. Założyciele: pp. Czosnowski, Horn, Gaiewosz i kilku prawników.

— W ministeryum skarbu postanowiono rozstrzygnąć sprawę obowiązkowego ubezpieczenia inwentarzy, zarówno włościańskich, jak i dworskich, od chorób najgroźniejszych i najbardziej rozpowszechnionych. Nadto wprowadzone będzie ubezpieczenie dowolne na wypadek śmierci inwentarza. W Królestwie Polskiem sprawy tych ubezpieczeń będą powierzone osobnym zarządom asekuracyjnym. Dla ułatwienia działalności, w ministeryum skarbu powstanie urząd reasekuracyi.

— Ministeryum skarbu ograniczy wyrób i sprzedaż sacharyny i zaliczy ją do szeregu wytworów trujących. Ma być ona sprzedawana w aptekach jedynie za receptami lekarzy; wogóle nad sprzedażą jej nawet do celów technicznych będzie rozciągnięty baczny nadzór.

— Wydziały rozrachunkowe, na wzór petersburskiego, będą urządzone przy oddziałach Banku państwa w Warszawie i Odesie.

Zmarli. Leon Chrzanowski, w pow. Olkuskim, członek Akademii umiejętności w Krakowie, poseł do austryackiej Rady państwa, literat.

Odpowiedzi Redakcyi.

Prenumeratorce. Uwagi Pani byłyby niezrozumiałe dla czytelników, a nawet dla nas, gdyż nie wiemy, do czego one się odnoszą. W nr. 8 *Prawdy* nie było artykułu p. t. „Nowy człowiek."

SPROSTOWANIE. W poprzednim numerze *Prawdy* w artykule p. t. „Stacye doświadczalne" jest mowa o opodatkowaniu produkcyi ryb na rzecz stacyi bakteryologicznej w stosunku po kopiejce nie od puda, lecz od funta.

— Zarząd Towarzystwa ogrodniczego warszawskiego podaje do wiadomości, że w roku bieżącym zostaną przyznane przez Towarzystwo:

1) Zapomogi dla kształcącej się na polu ogrodnictwa młodzieży. Kandydaci winni przed 1 maja r. b. złożyć w kancelaryi Towarzystwa (Warszawa, Bagatela 3) odpowiednie podania z załączeniem: a) dokumentów osobistych wraz z treściwym opisem biegu życia, własnoręcznie napisanym; b) świadectwa zakładów ogrodniczych, w których kształcił się dotychczas.

2) Nagrody dla ogrodników za wieloletnią służbę w jednem miejscu. Kandydaci winni złożyć przed 1 grudnia r. b.: a) opis biegu życia; b) świadectwo właściciela ogrodu, w którym spełniali swą długoletnią służbę, przyznające prawo do starania się o wspomnianą nagrodę. Pożądanem jest, ażeby świadectwo to było poświadczone przez osoby wiarogodne, np. przez członka Tow. ogr. warsz., proboszcza miejscowego lub dwóch najbliższych sąsiadów obywateli; c) wszystkie posiadane świadectwa służbowe lub ich kopie, poświadczone przez osoby wiarogodne; d) jeżeli ogrodnik, ubiegający się o nagrodę, nie pełni już obowiązków, dających mu prawo korzystania z niej, powinien dołączyć świadectwo ubóstwa, wydane przez proboszcza parafii, w której obecnie zamieszkuje.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 1—6 tomu II dzieła Maksimowa p. t. **Syberya i ciężkie roboty.**

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwa „Prawdy"

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bakowskiej — rs. 3.

Huxley—Rosenthal. **Zasady fizyologii** — rs. 2.

Encyklopedya dla dzieci (ilustrowana). Cena zniżona **rs. 1 k. 50.** Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.

E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — kop. 40.

N. Hirszband. **Byron w urywkach**, kop. 50.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z **apteką** domową (w oprawie) — rs. 1.

K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa — rs. 2.

Dr. Med. L. Wolberg. **Psychologia dziecka** — rs. 2. Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX** w., tomów cztery, tł. K. Lewald — **rs. 6.**

H. Posnett **Literatura porównawcza** rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 12 Марта 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.